CENA NINIEJSZEGO NUMERU 3 ZŁ. 50 GR.

ROK XXV

ŚWIAT

NR. 51

WARSZAWA, DNIA 20-go GRUDNIA 1930 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Dwudziestopięciolecie „ŚWIATA"

Wiosną 1905 roku przyjechał Erazm Piltz, redaktor petersburskiego „Kraju", do Wiednia, gdzie wówczas stale mieszkałem. W toku długich rozmów wyłonił się projekt założenia w Warszawie nowego tygodnika ilustrowanego, poświęconego zagadnieniom chwili bieżącej, przedewszystkiem zaś literaturze i sztuce. Piltz wtedy już zdawał sobie sprawę, że rola jego w Petersburgu ma się ku końcowi, że zbliżają się wypadki, skutkiem których w b. Królestwie Kongresowem rozwinie się bujniejsze życie publiczne, a równocześnie — jego polska placówka nad Newą straci na znaczeniu. Więc liczył się z możliwością przeniesienia się na stałe do Warszawy.

Udało mi się pozyskać dla naszego projektu mego przyjaciela, ś. p. Jana Skiwskiego, który był poważnym akcjonarjuszem i dyrektorem Zakładów Drukarskich Orgelbrandów. W lecie już podjęliśmy starania o koncesję. Otrzymałem ją w Petersburgu na jesieni. Zlikwidowałem mój blisko dziesięcioletni pobyt zagranicą i wróciłem do Warszawy nieomal w przeddzień ogłoszenia konstytucji. Erazm Piltz podtrzymywał mię radą, doświadczeniem, talentem organizatorskim. Dwaj wypróbowani przyjaciele i towarzysze pracy, Wincenty Kosiakiewicz i Antoni Chołoniewski, zgodzili się przystąpić z nami do współpracy. Rabski, Konar, Reymont, Rittner, Antoni Lange, Stan. Kozłowski, Adam Szymański, Wł. Wankie, Józef Jankowski, Ant. Miecznik, Adam Breza, Stanisław Sierosławski i wielu innych — zapewnili czynną, życzliwą pomoc.

Byłoby niewdzięcznością nie wspomnieć, z jaką życzliwością odnieśli się do naszego przedsięwzięcia inni dyrektorzy Zakładów Orgelbrandowskich, pp. Stanisław Natanson oraz Henryk i Zygmunt Rundowie.

A zadanie w samem założeniu nie było łatwem. Trzeba było stworzyć nowy typ tygodnika. Zdobywa się czytelników tylko nowością. W Polsce nie było wtedy jeszcze ilustracji, poświęconej aktualnościom. Dzienniki nie zamieszczały prawie wcale obrazków. Wyjątek, — nader rzadki, — stanowiły portrety, rysowane piórkiem. Nie było zgoła fotografów, umiejących dokonywać zdjęć na otwartem powietrzu. Gdym nie mógł znaleść fotografa-zawodowca, zwróciłem się do ś. p. Ryszarda Oknińskiego, utalentowanego artysty - malarza, który równocześnie był zapalonym fotografem-amatorem. W ten sposób Okniński stał się pionierem tego nowego fachu, który dziś ma tylu doskonałych adeptów. Dopiero w parę lat później zjawił się Marjan Fuchs i jako fotograf „Świata" zyskał sobie dużą popularność.

. . . .

Pragnęliśmy stworzyć czasopismo, tętniące życiem, chwytające w lot

wszystkie ważniejsze zjawiska, czasopismo utrzymane w tonie dostępnym i pogodnym, bez domieszki jakiejkolwiek doktryny stronniczej. Ostatni warunek był szczególnie uciążliwy. Rozpoczynaliśmy działalność w ogniu ostrych walk, w chaosie pierwszych prób parlamentaryzmu w Państwie Romanowych. Polska była objęta pożogą rewolucyjną. Manifestacje, strajki, krwawe zamachy mnożyły się z dnia na dzień. Utrzymanie równowagi między ścierającemi się prądami, z zachowaniem własnej linji, było w tym okresie sprawą niezwykle trudną. Od pierwszych swych zeszytów aż po dzień dzisiejszy, t. j. przez ciąg 25-ciu lat, „Świat“ zdołał tę równowagę utrzymać, a dzięki niej mógł skupić stale wszystkich prawie wybitniejszych pisarzy polskich, bez różnicy przekonań i programów politycznych.

Oczywiście, w momentach szczególniejszego zaostrzenia konfliktów politycznych, „Swiat“ nie zyskiwał wskutek tego przychylności żadnej ze stron walczących. Za to później, gdy namiętności uciszały się, do „Swiata“ nikt nie czuł urazy. I do dziś dnia, zaprawdę, nie ma może w Polsce czasopisma, na którego szpaltach spotykałyby się nazwiska ludzi, tak dalece na przeciwnych krańcach pod względem politycznym stojących, jak to się zdarza bezustannie w „Świecie“. Należy przytem zaznaczyć, że „Świat“ nigdy nie obawiał się t. zw. „kwestji drażliwych“, że starał się zawsze badać je i wszechstronnie wyjaśniać.

W obronie spraw słusznych, ogólnego znaczenia, w obronie interesów narodowych, a później — państwowych, — w ciągu całego tego okresu nie daliśmy się nigdy nikomu prześcignąć.

. . . .

I oto nadszedł dzień wydania pierwszego zeszytu. Gdy ostatnie „rewizje“ zostały odesłane do drukarni, a koledzy opuścili redakcję, pamiętam, — po tych kilku dniach niebywałego napięcia nerwów, — odczułem nagle niesamowite zmęczenie. Żona kazała mi zmierzyć temperaturę. Miałem 40° gorączki. Nazajutrz, na ulicach, chłopcy już nawoływali: — „Świat“, nowy tygodnik ilustrowany, — „Świat“!...

Publiczność rozchwytywała pierwszy zeszyt. Odnieśliśmy zwycięstwo. Trzeba było umocnić je i utrwalić.

. . . .

NARADA REDAKCYJNA NAD ILUSTRACJAMI



RED. STEFAN KRZYWOSZEWSKI WYBIERA FOTOGRAFJE DO MONTAŻU, KTÓRY WYKONA P. F. LILPOPÓWNA. W NARADZIE BIORĄ UDZIAŁ P. EUSTACHY CZEKALSKI, JERZY ŻYCKI, ART. MAL. MĘDRECKI I FOT. MALARSKI

For. J. Malarski

Od tego dnia, przez 25 lat, bez przerwy *), „Świat“ pojawiał się co tydzień, niosąc wszędzie, gdzie brzmiała polska mowa, wiadomości o wszystkich ważniejszych objawach życia polskiego, „aktualne“ rysunki i fotografje, utwory najcelniejszych pisarzy polskich. Szczególniej w t. zw. prowincjach zabranych, t. j. na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie oraz we wszystkich miejscowościach Rosji Europejskiej i Azjatyckiej, gdzie znajdowały się ośrodki życia polskiego, „Świat“ wszędzie zdobył życzliwych i wiernych przyjaciół. Częstokroć był — i jest dotychczas — jedynym węzłem, łączącym emigranta z ojczyzną.

*) W lecie r. 1926, z powodu strajku w drukarniach warszawskich, „Świat“ nie wychodził przez dwa tygodnie. Była to jedyna przerwa w ciągu całego ćwierćwiecza.

Dwadzieścia pięć lat! A w tym okresie rewolucja rosyjska, wybuch wojny światowej, okupacja niemiecka, niepodległość i związane z jej ustaleniem perturbacje wewnętrzne, wojna 1920 r., inflacja... Zaiste, zadanie nie zawsze było łatwe! W pierwszych latach, po zniesieniu oficjalnej cenzury rosyjskiej, sypały się na nas kary ze strony władz moskiewskich. Ileż to razy trzeba było bronić się, i z jakim trudem! by nie przepaść! Bolesne, upokarzające audjencje u prezesów cenzury, u Jaczewskiego, Essena... Zaś później, jeszcze przykrzejsze zmagania się z władzami okupacyjnemi. Znów waliły się grzywny, już nie w rublach, lecz w markach... Znów długie rozprawy w tym samym gmachu cenzury na Miodowej, teraz z urzędnikami niemieckimi, którzy daremnie próbowali narzucać nam swoje życzenia. Teren ekspanzji „Swiata“ skurczył się nagle do *„General-Gouvernement Warschau“*, nakład spadł do cyfr nieprawdopodobnych. Papier wydzielały nam niemieckie władze wojskowe. Mimo to „Swiat“ wychodził co tydzień o właściwej porze. I pochwalić się możemy takimi przyjaciółmi, którzy wszystkie zeszyty „Świata“ od chwili jego założenia po dzień dzisiejszy przechowują pilnie. Stanowią one swego rodzaju ilustrowaną historję życia polskiego w tem niezwykłem, bogatem w wielkie wydarzenia ćwierćwieczu.

. . . .

Lata biegły. Co chwila ktoś ustawał w drodze. Naprzód Chołoniewski, potem Kosiakiewicz... tylu innych! Lecz zaraz przy warsztacie redakcyjnym stawał nowy kolega, wstępował do naszej redakcyjnej rodziny.

Lista tych, co w ciągu 25-ciu lat drukowali w „Świecie“ swe utwory, to antologja pisarstwa polskiego w tym okresie.

RED. STEFAN KRZYWOSZEWSKI W OTOCZENIU WSPÓŁPRACOWNIKÓW „ŚWIATA"



OD LEWEJ: WACŁAW GRUBIŃSKI, FELICJA LILPOPÓWNA, JAN LORENTOWICZ, MAGDALENA SAMOZWANIEC, ZOFJA GŁODOWSKA, STOJĄ: JERZY ŻYCKI, TADEUSZ MĘDRECKI, KAZIMIERZ WROCZYŃSKI, STANISŁAW SIEROSŁAWSKI, STEFAN KRZYWOSZEWSKI, WITOLD GIEŁŻYŃSKI, EUSTACHY CZEKALSKI, JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI, EUGENIUSZ SCHUMMER I KORNEL MAKUSZYŃSKI

Fot. J. Malarski

Z pośród tych, co swe prace na szpaltach „Świata" zamieszczali, niektórzy do bardzo wysokich stanowisk w państwie polskiem doszli, że wymienię Erazma Piltza, wiceministra S. Z., ministra Kaz. Pułaskiego, wicemarszałka Stan. Posnera, ministra Stanisława Patka, pułk. Wieniawę-Długoszewskiego, rektora Alfonsa Parczewskiego, b. premjerów Jana Kucharzewskiego, rektorów Ant. Ponikowskiego i Pomorskiego...

Dziś niema już tych, którzy ze mną tworzyli pismo. Lecz ich miejsce zajęli szczerze „Światu" i jego redaktorowi oddani: Kornel Makuszyński, Wacław Grubiński, Jan Lorentowicz, Kaz. Wroczyński, Witold Giełżyński, Winc. Rzymowski, Magdalena Samozwaniec, Jul. Kaden-Bandrowski, T. Kończyc, E. Woroniecki, Zofja Norblin-Chrzanowska, Podoski, H. Jelenkiewiczówna, E. M. Schummer, J. E. Skiwski, Z. Grabski i wielu, wielu innych.

Obok Eustachego Czekalskiego, wieloletniego towarzysza pracy, stanowisko generalnego sekretarza redakcji objął Jerzy Życki, młody, pełen żarliwej ochoty dziennikarz i publicysta. Gdy na mnie przyjdzie kolej, gdy trzeba będzie pójść na odpoczynek doczesny lub wieczny, w redakcji nie zbraknie sił. Przez nieustanny dopływ nowych talentów „Świat" zachował impet i zapał młodości, które zawsze prowadzą do zwycięstwa.

Już teraz spora garść artystów-malarzy i rysowników najmłodszego pokolenia skupiła się przy „Świecie", a na ich czele zawsze młodzi, zawsze świetni Kamil Mackiewicz i Stefan Norblin. Zamiast jednego Oknińskiego, jak to było w r. 1906, zamiast jednego Marjana Fuksa w latach następnych, liczne rzesze doskonałych, niezmordowanie czujnych fotografów!...

Byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie wspomniał o Tadeuszu Galewskim, właścicielu drukarni, w której drukuje się „Świat" od 12-tu lat. To także jeden z „młodych", to także jeden z filarów, na których wspiera się nasz „Świat". Znaleźliśmy w nim przyjaciela, który przywiązał się gorąco do „Świata", i w doli i niedoli zawsze był wiernym, lojalnym sojusznikiem, zawsze swoje ambicje graficzne łączył z interesem pisma.



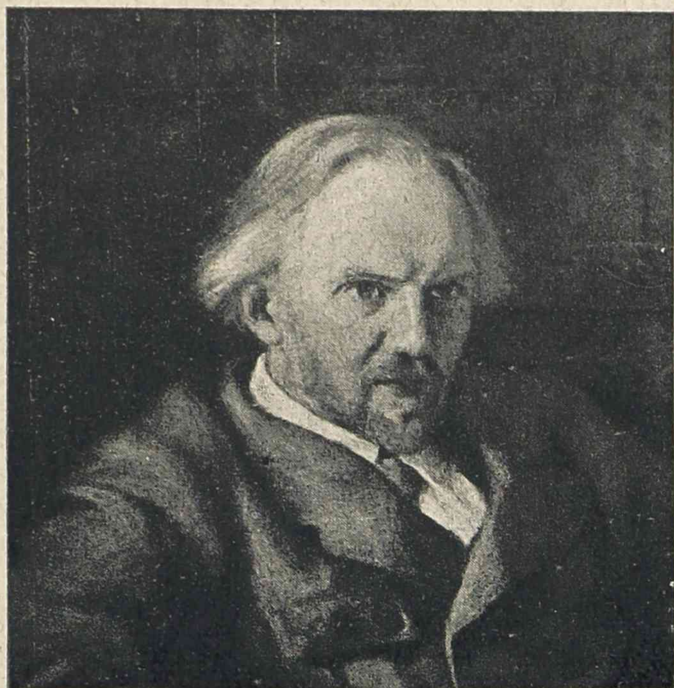
. . . .

W mej trzydziestoparoletniej karjerze literackiej miałem dwa wielkie umiłowania, które wypełniły mi życie: teatr i „Świat". Godziwemi środkami dla sztuk moich udało mi się pozyskać publiczność. Dla „Świata" — licznych, wiernych i życzliwych Czytelników.

Dowody przychylności, jakie mię spotykały — i teraz zwłaszcza, w dobie jubileuszowej, wciąż spotykają — świadczyły i świadczą, że między Czytelnikiem a redakcją można w Polsce zadzierzgnąć trwałe węzły uczuciowe, że stosunek Czytelnika do stale przezeń czytywanego czasopisma zawiera głębsze wartości.

Za tę przyjaźń, która jest chlubą „Świata", składam Wam dzisiaj, Drodzy Czytelnicy, w swojem i moich towarzyszy pracy imieniu, gorące podziękowanie.

Stefan Krzywoszewki



JÓZEF JANKOWSKI



WINCENTY KOSIAKIEWICZ



ERAZM PILTZ

Z KIM WSPÓŁPRACOWAŁEM...

Przed laty dziewiętnastu zadebjutowałem w „Świecie" uczonym artykułem o Bronisławie Chlebowskim. Niebawem wszedłem do sztabu redakcyjnego na stałe. Był to wielki zaszczyt dla młodego literata, gdyż redakcje pism warszawskich w one czasy reprezentowały wszystkie ministerstwa, wykonywały prace kulturalne i administracyjne, stały na straży wielu funkcyj życia narodowego. Teraz prasa jest tylko... prasą. Literat czy publicysta obecnie raczej odzwierciadla ideologje, ujawniające się w walkach politycznych. Ongiś słowo jego starczyło za opinję zorganizowanego stronnictwa, ciała naukowego. Człowiek piszący był też odpowiednio w społeczeństwie ceniony.

Mieliśmy więc wielu pisarzy, publicystów, których nazwiska posiadały określony walor ideowy, pociągały uwagę, wytwarzały opinje. Obok tych świeczników publicystyki skupiały się jednostki, dające czytelnikom olbrzymi materjał instrukcyjno-informacyjny. Węzły między kulturą Zachodu a polską zadzierzgnięto w sposób niezwykły: polski inteligent mógł z dnia na dzień śledzić potężną pracę ducha społeczeństw europejskich. Oryginalna myśl, jak i ciekawa rozrywka, lotem błyskawicy przedostawały się do Polski. Życie intelektualne płynęło, mimo wszystkie restrykcje przemocy rosyjskiej, wezbranem, bujnem łożyskiem.

„Świat" w zespole kulturalnym szedł stale na czele. Stawał zawsze prawie pierwszy do apelu, czy to informując, czy to przekładając społeczeństwu właściwy, rozważny sąd o rzeczy, zjawisku, wydarzeniu. Mógł to czynić z łatwością, gdyż posiadał znakomity zespół redakcyjny. Przez łamy „Świata" przeszły nieomal wszystkie najwybitniejsze pióra 25-lecia!

Gdy przed dziewiętnastu laty zacząłem współpracować, zastałem w redakcji Wincentego Kosiakiewicza, Ad. Brezę, Antoniego Chołoniewskiego, Józefa Jankowskiego, Stanisława Sierosławskiego, Wł. Wankiego, Ant. Orłowskiego, Lucynę Kotarbińską, Janinę Porazińską, Wojciecha Baranowskiego, Erazma Piltza oraz Antoniego Miecznika. Siłą rzeczy fascynowały postacie Wincentego Kosiakiewicza i Antoniego Chołoniewskiego. Ludzie ci stanowili dwa przeciwne typy tak fizycznie, jak i duchowo. Żywotność ich atoli była jednakowo intensywna.

Wincenty Kosiakiewicz dawał tygodniowo po kilkaset wierszy na tematy przeróżne. Pisał artykuły polityczne, społeczne, literackie, nowele, humoreski; był niezastąpionym informatorem z wielu dziedzin nauki, specjalnie jednak hołdował historji i matematyce. Obejmując tak wiele umysłem swoim, niezawsze mógł każdy artykuł odpowiednio wykończyć. W dorobku swym posiadał mimo to ogromną ilość prac o dużym polocie i doskonałej formie. Nie wszyscy czytelnicy wiedzieli, iż artykuły wstępne, podpisane „Albin Pawłowski", były jego pióra. Ileż ich napisał pod kryptonimem „Dr. Voks", ile humoresek nosiło podpis „Młodywuł"! Pomysłów miał zawsze do dyspozycji na tysiące artykułów, nowel, powieści. Stale marzył o teatrze. Lubił towarzystwo mądrych książek, nie gardził kieliszkiem dobrego wina, a o podniebienie też musiał dbać, bo dźwigał przed sobą pokaźny obdomen.

Przeciwieństwem jego był Antoni Chołoniewski, człowiek wzrostu niedużego, zrównoważony, cichy, małomówny. Przysyłał z Krakowa tydzień w tydzień czyściutko, wzorowo opracowane skrypty, budzące powszechny szacunek i zainteresowanie. Gdy uderzył w intrygi niemieckie przeciw Polsce, w słynnym artykule p. t. „Miljard margrabiego Gerona", nawet prasa rosyjska szeroko zajęła się tą sprawą. Chołoniewski przeprowadził kilka walk ideowych na łamach „Świata". Praca jego żłobiła w społeczeństwie przeświadczenie o żywotności i zdrowiu narodu. Umiał on budzić dobre siły i dawał im publicystyczny wyraz w formie artystycznej. Rozporządzał polszczyzną przednią, wzorową.



ANTONI CHOŁONIEWSKI

Wiele spraw politycznych i społecznych dzięki doświadczeniu Erazma Piltza i talentowi Wojciecha Baranowskiego znalazło swój dojrzały publicystyczny wyraz. Erazm Piltz rzadko już wtedy chwytał za pióro, był nieocenionym doradcą, informatorem.

Wojciech Baranowski zmagania się posłów naszych w Petersburgu, jakoteż sprawy kresowe znał na wylot: jako publicysta zabierał głos trzeźwy, spokojny, przenikliwy.

Sekretarzem redakcji był znany i ceniony poeta, Józef Jankowski. Był on orędownikiem poezji, informatorem o ruchu umysłowym religijnym, metafizycznym. Adam Breza pisał o teatrze, miał w pieczy sztuki plastyczne. Tryskał wspaniałem zdrowiem i świetnym humorem. Tępił wszelkie makaronizmy, wyławiał błędy zecerskie z kawalerskim animuszem. Tydzień w tydzień przychodzili: art.-malarz Władysław Wankie, świetny pejzażysta i brawurowy pisarz, oraz Antoni Orłowski, głośny humorysta, „Krogulec", zawsze melancholijnie uśmiechnięty, zaopatrzony we własne, świeże, gorące dowcipy, które puszczał później u Semadeniego i Loursa.

Wiele pracy dawał i daje dla „Świata" Stanisław Sierosławski, przedni dziennikarz, człowiek dużej wiedzy i kultury. Pisał on o wynalazkach wszelkiego typu. Posiada szeroką skalę ciekawości umysłowej. Kliszami naszemi, fotografjami zajmowała się Janina Porazińska, znana obecnie pisarka dla młodzieży. Sprawy kobiece miała w pieczy p. Lucyna Kotarbińska, znakomita redaktorka „Naszego Domu".

Wspominając wszystkich tych kolegów i koleżanki w dniu jubileuszu „Świata", należałoby przedewszystkiem podkreślić działalność naszego szefa, redaktora Stefana Krzywoszewskiego. W tygodnik ten włożył wszystkie swoje siły, zdobywając powszechny szacunek, uznanie i poczytność. Wychował wielu publicystów, dziennikarzy; na „Świecie" wzorowały się i wzorują liczne wydawnictwa. Mimo konkurencji, zmalenia rynku, „Świat", jak był, tak i pozostał pismem o indywidualnej koncepcji. Nosi na sobie piętno pracy, zabiegliwości, polotu i talentu organizatorskiego Stefana Krzywoszewskiego.

„Świat" po latach dwudziestu pięciu jest, jak był, pismem młodem, żywotnem, niezrutynizowanem.

Eustachy Czekalski

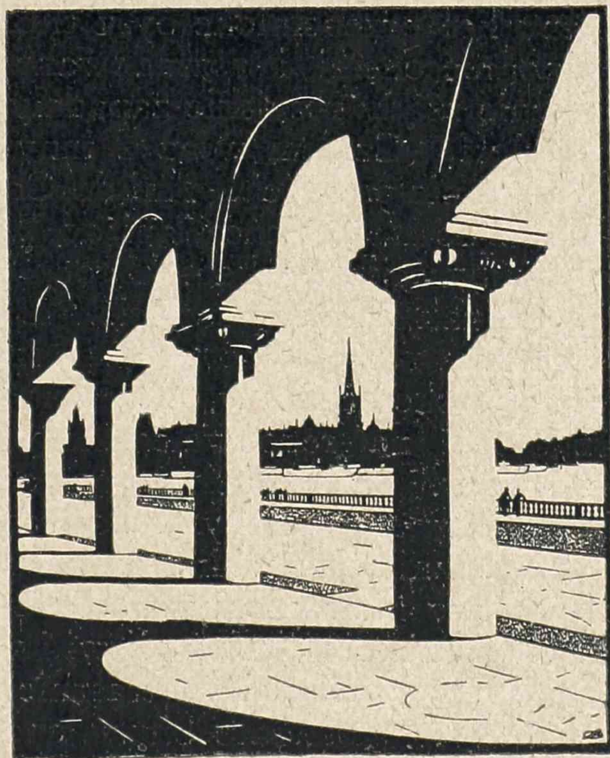
* * *

Bardzo bliskie stosunki łączyły „Świat" z Henrykiem Sienkiewiczem. Wielokrotnie drukował na naszych łamach swoje przekłady, dał rewelacyjny głos w ankiecie o psychologji twórczości. Aleksander Świętochowski nieraz w znakomitych artykułach oświetlał polskie bolączki społeczne na naszych łamach. Józef Weyssenhoff, twórca „Sobola i Panny", drukował u nas znakomitą swoją „Gromadę". Władysław St. Reymont, wieloletni przyjaciel, przez „Świat" zapoznał polskie społeczeństwo z „Marzycielem", z wieloma świetnemi nowelami. Kazimierz Tetmajer wzbogacał poezję licznemi swemi lirykami. Drukował w „Świecie" parę większych powieści. Tadeusz Miciński dawał w korespondencjach wojennych z krwawych walk bałkańskich ciekawe swoje wrażenia, z uwagą czytane nietylko przez naszych abonentów.

„Świat" po raz pierwszy w Polsce zwrócił uwagę na J. Conrada - Korzeniowskiego. Jego powieść „W oczach Zachodu" (przekład H. J. Pajzderskiej), drukowana u nas, przypominała Polsce o tym beletryście - marynarzu, chwalonym przez krytykę angielską, a z krwi i tradycji przynależnym do naszego narodu.

„Świat" drukował utwory Andrzeja Struga, G. Daniłowskiego, Zofji Nałkowskiej, Wł. Perzyńskiego, Adolfa Nowaczyńskiego, Zygmunta Bartkiewicza, Kornela Makuszyńskiego, J. Kaden-Bandrowskiego, Wacława Grubińskiego, Adama Grzymały-Siedleckiego, E. Czekalskiego, Juljusza Germana, Stefana Kiedrzyńskiego, Ernesta Łunińskiego. Wacław Sieroszewski przez długie lata zamieszczał u nas swoje powieści, nowele, artykuły. Tadeusz Rittner, piszący tylko dla teatru, nieraz dawał nam wdzięczne swoje noweletki i dowcipne feljetony.

Jan Lorentowicz drukował wiele swoich studjów literackich tak o literaturze polskiej, jak i francuskiej, rosyjskiej. Zagadnienia teatralne, sprawy życia organizacyjnego zawodowo - literackiego w jego oświetleniu zwracały powszechną uwagę naszych czytelników — Adam Grzymała - Siedlecki zamieszczał na łamach „Świata" głębokie swoje refleksje o twórczości różnych autorów polskich, a w pierwszym rzędzie o Wyspiańskim. T. Boy-Żeleński był również zawsze mile widziany i z dużem zaciekawieniem czytany, gdy dzielił się swojemi przenikliwemi i dowcipnemi rozważaniami nad literaturą francuską.



„Świat" może się poszczycić, iż na swoich łamach przechował niejedną świątłą myśl ś. p. Wilhelma Feldmana. Przygarnął też do siebie młody, bujny talent Mieczysława Srokowskiego.

Udział pisarzy tych w 25-ciu rocznikach „Świata" dał czytelnikom niejedną perłę talentu, przysporzył wzruszeń dodatnich.

* * *

W prasie polskiej forma ankiety i wywiadu została utrwalona przez „Świat". Zdarzały się sporadyczne wypadki, że jakaś redakcja użyła czasem tego sposobu informowania czytelnika. Były to jednak próby, i niezawsze szczęśliwe. „Świat" ujawnił, czem mogą być ankiety i wywiady w pracy dziennikarskiej. Teraz niema pisma, które by nie posługiwało się tą formą.

„Świat" poprzez ankiety i wywiady wytwarzał zainteresowanie dla spraw tak ważnych, jak walka o uniwersytet polski w Warszawie, sprawa Chełmszczyzny, zagadnienie samorządów, samowystarczalność gospodarcza ziem polskich. W ankietach tych i wywiadach nieraz dawał konkretną wskazówkę społeczeństwu, jak należy rozumieć omawianą sprawę. Bardzo charakterystyczną w tym względzie była ankieta w sprawie samowystarczalności ziem polskich. Zainicjowano ją podczas gorącej propagandy za autonomją, by skierować uwagę społeczeństwa na problem niepodległości narodowej. Autonomiści posługiwali się argumentami gospodarczemi. „Świat" wytrącił im broń z ręki. Ankieta dowiodła czarno na białem, że ziemie polskie stanowią integralną całość gospodarczą. Wykazała, że Polska, jako państwo niepodległe, potrafi zorganizować swoje życie ekonomiczno-gospodarcze.

Należy też wspomnieć o ankiecie w sprawie uniwersytetu warszawskiego. Prasa rosyjska dowodziła, że nie posiadamy dostatecznej ilości sił naukowych do objęcia katedr! Odpowiedzieliśmy ankietą, iż obsadzimy natychmiast wszystkie magistralne, podstawowe przedmioty, jeśli tylko rząd rosyjski dopuści do spolszczenia uniwersytetu. Nie myliliśmy się: za okupacji niemieckiej, w znacznie cięższych warunkach, uniwersytet zaczął funkcjonować.

Ankiet i wywiadów używaliśmy i w sprawach pomniejszych, gwoli rozrywce Czytelników. Roczniki „Świata" przechowują ciekawe dokumenty w tym względzie.

F.

Jakie wydarzenia w ostatniem ćwierćwieczu wywarły na panu najsilniejsze wrażenie?

Z tem pytaniem zwróciliśmy się do trzech znakomitych publicystów: prof. Stan. Strońskiego, Witolda Giełżyńskiego i Winc. Rzymowskiego. Wydało nam się bowiem, że publicysta jest organem najwrażliwszym na wszelkie fakty, perturbacje i wypadki, jakie zachodzą w życiu politycznem, społecznem i kulturalnem narodu, — i że najlepiej potrafią wypowiedzieć i zanalizować doznawane wrażenia. Wybraliśmy zaś rozmyślnie trzech pisarzy — o zgoła odmiennej ideologji, mniemając, że w ten sposób wynurzenia ich uzupełnią się i dadzą w pewnej mierze obraz kompletny istotnie najważniejszych wydarzeń życia polskiego w ciągu ostatnich 25-ciu lat, t. j. w ciągu dotychczasowgo istnienia „Świata".

Rzadko który okres historyczny obfitował w tyle doniosłych zdarzeń, co ostatnie ćwierćwiecze. I znów żaden naród w ciągu tego czasu nie doznał takiej odmiany losów, jak Polska.

Nic więc dziwnego, że dojrzałe pokolenie Polaków przeżyło wiele momentów pamiętnych, wesołych i smutnych, o powszechnem dziejowem znaczeniu. Naturalnie, że najsilniejsze wrażenie wywarły i najmocniej utkwiły nam w duszy te fakty, których sami byliśmy uczestnikami, a przynajmniej widzami. Poruszyły one uczucia, gdy rzeczy znane z opowiadań, choćby ważniejsze w skutkach, przemawiają tylko do rozumu.

W ogólnym bilansie dwudziestopięciolecie ubiegłe było dla Polski pomyślne. — Mało, — było ponad marzenia szczęśliwe: wyprowadziło ją z potrójnej niewoli do niepodległego bytu. Ale nie brakowało chwil ciężkich i sytuacji tragicznych.

Do najboleśniejszych przeżyć, których zapomnieć nie mogę, należy uroczystość otwarcia gubernji chełmskiej jesienią 1912 roku. Byłem jedynym dziennikarzem polskim, obecnym przy tym akcie. Do dzisiaj stoi mi przed oczami złowroga postać arcybiskupa Eulogjusza, sławiącego chwilę „uwolnienia ludu chełmskiego od polskiego jarzma". Jeśli przewrotność i cynizm dosięgły kiedykolwiek swego zenitu, to stało się to wtedy w soborze chełmskim. Urągano naszej niemocy. Świętokradzko dokonywano gwałtu z krzyżem w ręku i słowami wolności na ustach; a potem pito „na pohybel lachom" za podatki z nas ściągnięte, rozbijano się powozami, zarekwirowanemi po sąsiednich dworach polskich, i rozdawano spędzonemu ludowi okolicznemu „Poczajewskij listok". Patrząc wówczas z „Górki" na miasto, wsie i pola przyległe, żegnałem się z tą ziemią, przesiąkłą krwią i łzami męczenników, — i zaciskałem bezsilnie pięście.

Ale nie minęły trzy lata, gdy pewnej nocy letniej ogłuszający huk wstrząsnął całą Warszawą i postawił mnie na nogi. To moskale wysadzali za sobą mosty na Wiśle. Od świtu ulice przepełnione były tłumami podnieconemi i rozradowanemi. Stuletnie rządy rosyjskie zapadały w przeszłość. Czułem wraz z innymi, że już tu nie powrócą. Ani do Chełma, ani do Krzemieńca, ani do Wilna. Odwróciło się koło historji.



WITOLD GIEŁŻYŃSKI

A jednak chcieli powrócić. Dnia 15 sierpnia 1920 roku wprost ze szpitala wojskowego w Grudziądzu przybyłem na rekonwalescencję do Warszawy. Śniło mi się co noc starcie na bagnety; olbrzymi bolszewik szedł na mnie, jak widmo potworne, aż nagle w niewiadomy sposób znalazł się na ziemi w kałuży krwi i wyłażących bebechów. Najstraszniejsze jednak było widziadło bitwy nocnej z błyskami granatów ręcznych, rykiem bydła i jękami ludzi. Opuchlizny nóg i czerwonka wyrwały mnie fizycznie z tego piekła, lecz nie mogły wyrwać jego obrazów z pamięci i chorobliwej wyobraźni. Nie zdając sobie sprawy z sytuacji na froncie, pragnąłem jaknajprędzej dostać się do Warszawy i pojąć nie mogłem, w jaki sposób pociąg nasz mógł być ostrzeliwany pod Toruniem i czekał kilka godzin na odparcie nieprzyjaciela przed Włocławkiem. W jaki sposób bolszewicy, których tydzień temu widziałem nad Bugiem, znaleźli się na dolnej Wiśle? To też przerzucałem się od nadziei do rozpaczy, póki coraz pomyślniejsze wiadomości nie utrwaliły uczucia zadowolenia i pewności.

To dziwne, że późniejsze radosne fakty: zawarcia pokoju, uchwalenia konstytucji, przyłączenia Śląska czy odzyskania Wilna, nawet ostatecznego zatwierdzenia granic Polski nie pozostawiły silniejszych wrażeń. Natomiast wstrząsnęło mną do głębi zamordowanie ś. p. Prezydenta Narutowicza. Płakałem ze wstydu, że zbrodnia taka mogła się zdarzyć w oswobodzonej Polsce, nieznającej nigdy królobójstw; płakałem z żalu po szlachetnym, dobrym, mądrym i potrzebnym człowieku, którego miałem zaszczyt poznać bliżej. I dzisiaj, gdy po latach wspominam ten dzień tragiczny, ogarnia mnie jeszcze nieutulony smutek.

Ten szereg ognisty zdarzeń, które nie wygasły w pamięci i w uczuciach, nie został wtedy zamknięty. Przyszły inne fakty.

Ćwierćwiecze ubiegłe nie oszczędziło nikomu tragicznych chwil, rozpacznych dni, upadku ducha. Dla ludzi spokój miłujących nie było ono pobłażliwe. Stawiało nas wobec dramatycznych sytuacji i ryzykownych decyzyj. Ale wynagrodziło też darem największym — niepodległością. Niechajże będzie błogosławione.

Witold Giełżyński

Pytanie, na które mam odpowiedzieć, jest takie:

— Które zdarzenia, w ograniczeniu do kilku najznaczniejszych, wywarły na mnie największe wrażenie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza?

Trudniejsze byłoby pytanie, które zdarzenia dziś uważam za najważniejsze. Często zdarza się, że wielkie zdarzenia są złożone z następujących po sobie objawów i dopiero nabierają stopniowo znaczenia, tak iż niema takiego pierwszego i jednorazowego wrażenia na ich miarę. Gdybym przeto miał wymienić zdarzenia

najważniejsze, niejako przedmiotowe, byłaby to robota rozumowa, a zarazem trochę beznadziejna, bo co głowa to rozum. Gdy jednak dzięki doskonałemu ujęciu pytania, mam powiedzieć tylko, które zdarzenia wywarły na mnie największe wrażenie, jest to raczej odwołanie się do pamięci, a odpowiedź da coś bezpośredniego z danej chwili, choćby wrażenia wydawały się, dzisiaj, niecałkiem trafne.

1. W wyborach do Reichstagu niemieckiego w r. 1907, po pierwszych oznakach wcześniejszych, na Górnym Śląsku zjawiło się 5-ciu posłów polskich, z Wojciechem Korfantym na czele, w okręgach Katowice, Pszczyna—Rybnik, Tarnowskie Góry — Bytom, Lubliniec — Gliwice, Opole, wypierając z tego obszaru posłów niemieckich. Objawienie polskości Górnego Śląska w 6-tem stuleciu od prawnego oderwania od Polski za Kazimierza Wielkiego, a w 8-mem stuleciu od rzeczywistego oderwania po Krzywoustym, niosło w sobie nowe prawdy o niezniszczalności narodu. Na wielkie pytanie narodowego być albo nie być, uzależnionego od tego, czy w miejsce nielicznej warstwy, która w końcu XVIII-go wieku utraciła niepodległość, stanie w XX-tym wieku wielomiljonowy naród, zarysowała się odpowiedź rozpalająca znicz wiary.



PROF. STANISŁAW STROŃSKI

2. Dnia 4-go sierpnia 1914 roku, w toku rozpoczynającego się zatargu wojennego, do wojny przeciw Niemcom stanęła także Anglja. W liście do żony tego dnia pisałem: wojna będzie długa, ale powinna się skończyć klęską Niemiec, bo zwyczajem narodowym Anglji od kilkuset lat niezawodnym jest, że żadnej wojny nie przegrywa. W związku z polityką angielsko-francusko-rosyjską i w znacznej mierze włoską, wkroczenie Anglji uważałem za czynnik rozstrzygający.

3. Dnia 3-go czerwca 1918 r., po 13-tym punkcie Prezydenta Wilsona z 8-go stycznia 1918 r., uchwała wersalska kierowników rządów Francji, Anglji i Italji ogłosiła stworzenie Państwa Polskiego, zjednoczonego i niepodległego, z wolnym dostępem do morza, jako jeden z niezbędnych warunków pokoju. Sprawa polska na gruncie międzynarodowym stanęła w postaci najbardziej odpowiedzialnych pełnowartościowych zobowiązań Państw Sprzymierzonych. Znaleźliśmy się znowu na bitym gościńcu dziejowym.

4. Dnia 28-go czerwca 1919 r. w Sali Zwierciadlanej w Wersalu patrzyłem na podpisywanie Traktatu Wersalskiego także przez Polskę, zjawiającą się po latach 125-ciu na widowni międzynarodowej, a dnia 14-go lipca 1919 r., tuż obok Łuku, na którym wspomnieniem polskiem były nazwiska ks. Józefa Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Sułkowskiego, Chłopickiego, Zajączka, wodzów z czasów Napoleona, widziałem wejście wojsk zwycięskich, a wśród nich polskiego oddziału błękitnego.

5. Śmierć Jana Kasprowicza dnia 1-go sierpnia 1926 r., krótko po śmierci Żeromskiego 20-go listopada 1925 r. i Reymonta 5-go grudnia 1925 r., była jakby zamknięciem wielkiego okresu naszej twórczości na pograniczu niewoli i wolności.

6. Wydarzenia w dniach 12-go do 15-go maja 1926 r.

7. Lot Lindbergha z 20-go i 21-go maja 1927 r. z Nowego Yorku ponad Atlantykiem do Paryża był objawieniem i uzmysłowieniem olbrzymich postępów i możliwości życia ludzkości w naszej dobie.

8. Przyjdzie i to dalsze zdarzenie, jak przyszły tamte.

Pracujemy. Wielkie zdarzenia nie są nigdy dziełem jednej chwili. Stanisław Szczepanowski powiedział: każda chwila w życiu ludzkości jest równie ważna, bo w każdej cała przeszłość styka się z całą przyszłością. Ta ciągłość życia jest największem zdarzeniem.

Stanisław Stroński

Łuna wojny światowej, w której krwawy refleks pobojowisk stapia się z zorzą niepodległości, dziwne sprawia czary w perspektywie naszej pamięci.

Wszystko, co zostało poza ognistą zasłoną tej łuny, wydaje się nam dzisiaj odbarwione z życia, wyzute z namiętności, ogłuchłe i spopielałe.

Rzeczywistość, która poprzedziła wojnę, wydaje się nam snem, z którego obudził nas grom pierwszego sierpnia 1914 roku.

To, cośmy w czasach „tamtych" przeżyli, rysuje się oczom naszym jakgdyby coś w rodzaju „starego testamentu", którego doniosłość i wymowa polega na przeczuciach, wróżbach, przepowiedniach i znakach, zwiastujących to, co miało objawić się w „gromach i burzy".

Komuż dzisiaj serca bicie przyspieszą wspomnienia o wyborach do pierwszej, drugiej lub trzeciej Dumy rosyjskiej w Petersburgu?

Kto wraca myślą do uroczystego w Krakowie obchodu 500-ej rocznicy Grunwaldu?



WINCENTY RZYMOWSKI

Kto poi duszę wspomnieniem akcji neo-słowiańskiej, lub zastanawia się nad ceną, za jaką chciano wprowadzić samorząd miejski w dziesięciu, a potem już tylko w dziewięciu „guberniach Królestwa Polskiego"?

Ale czyn młodzieży, która przed ćwierćwiekiem opuściła szkołę rosyjską, aby ratować duszę swą przed zatruciem i rozkładem; ale bunt ludu roboczego, który ubroczył krwią swoją place Warszawy i Łodzi, stając do walki z caratem; ale pierwsze związki militarne, które w Galicji i na emigracji skojarzyły myśl o niepodległości z myślą o rozprawie orężnej: — te momenty, te czyny, te ogniska duchowe płoną w naszej pamięci i urastają do wagi faktów, skupiających w sobie treść ery przedwojennej.

Napróżno zmysł krytyczny ostrzega przeciw pojmowaniu tej ery w kategorjach czasu późniejszego.

Dzień niepodległości, wschodząc na ziemiach polskich, rzucił blask swój daleko poza siebie, w głąb doby

minionej, rozpraszając błędne mary, które tańczyły na powierzchni, i dobywając na światło to, co było nurtem podziemnym: dusze przekuwane w metal.

Dlatego to ponad wszystko, co przeżyłem, góruje i trwa w mojem życiu dzień wybuchu wojny światowej.

Wszystko, cokolwiek działo się przedtem i nastąpiło potem, nakryte jest kopułą tego dnia.

W dniu tym, w porannym świcie tego dnia, prawdziwie, ocknęły się wieki, ruszyły się z posad dzieje świata, pękła na grobie Polski pieczęć dziejowego wyroku.

Logika zdarzeń, która za narzędzie do powalenia Rosji wybrała wspólnika jej zbrodni rozbiorów, Prusy, oblekła już pierwsze kroki wojny w majestat jakichś otchłannych sądów bożych, spowitych w moc nadludzką i grozę.

Gdy w dni kilkanaście potem przyszły do Warszawy wieści o wyruszeniu z Krakowa garści „szaleńców", gotowych bić się o Polskę pod sztandarem jej niepodległości, nie wątpiłem, że z obozem tych „szaleńców" idą duchy Kościuszki, Dąbrowskiego Henryka i Traugutta.

Lecz, oto, minął rok. Świta dzień 5 sierpnia 1915 roku.

Trzy następujące po sobie huki wysadzonych mostów na Wiśle dały znać Warszawie, że stuletnia noc niewoli rosyjskiej — skończona!

Niema jeszcze — Polski, ale sprawa Polska wyłamuje się z obręczy zaborów i staje na widowni międzynarodowej.

Chwilę tę upamiętnia Piłsudski odwołaniem werbunku do Legjonów. Szedł z armją mocarstw centralnych tylko do granic Moskwy. Nie będzie szedł z nią do tryumfu Niemiec. A gdy dzieło wojny zastygnie w śmiertelnej równowadze zapaśników i w pozornym bezruchu zaciąży nad piersiami Polski, okutej bezwładem, on stanie się jej głosem protestu. Wyrwie zwycięską przemoc nowego okupanta. Sam osobę swą rzuci na szale wyroków i, aby wołanie ziemi polskiej usłyszał świat cały, wołać będzie krzykiem kamiennych wieżyc Magdeburga.

Dzień 5 listopada 1916 r., w którym Beseler ogłosił na zamku warszawskim manifest dwóch cesarzy, był otwarciem nawiasu złudzeń, które przeistaczały się w zdobycze i zdobyczy, które zmieniały się w złudzenia. Nawias ten zamknął się w niespełna rok potem; w dniu, w którym wodza Legjonów aresztowano i osadzono w więzieniu pruskiem.

Elementy naszej niepodległości zawarte już były w konjunkturze historji. Granice Rzeczypospolitej drzemały w piersi Polaków.

Odtąd jasną już było rzeczą, że powrót Piłsudskiego do Polski będzie święcony, jako pierwszy dzień wyzwolenia.

I oto dzień ten, cały w mgłach jesieni, w tej ubogiej szacie polskiego przepychu, nadchodzi. Szary dzień 11 listopada 1918 r.: jesienny dzień urodzaju po stu latach krwawego siewu snów, porywów zbrojnych, rozpaczy i miłości! Szary, mżący kropelkami wilgoci, ale w duszy narodu bijący w dzwony zmartwychwstania! Dzień wielki, radosny, nieogarnięty.

Dzięki niemu kongres pokoju i Traktat Wersalski stać się mogły aktem już tylko zatwierdzającym to, co na ziemi polskiej zastały.

Ale nawet po traktacie pokojowym dzieło naszego wyzwolenia nie było jeszcze ukończone.

Zamknęła je dopiero zwycięska wojna z Rosją w jesieni roku 1920.

Ten ostatni akt, zamykający budowę niepodległości, stał się jednocześnie dopełnieniem zobowiązań, jakie obarczały nas w obliczu Europy Zachodniej i Ameryki.

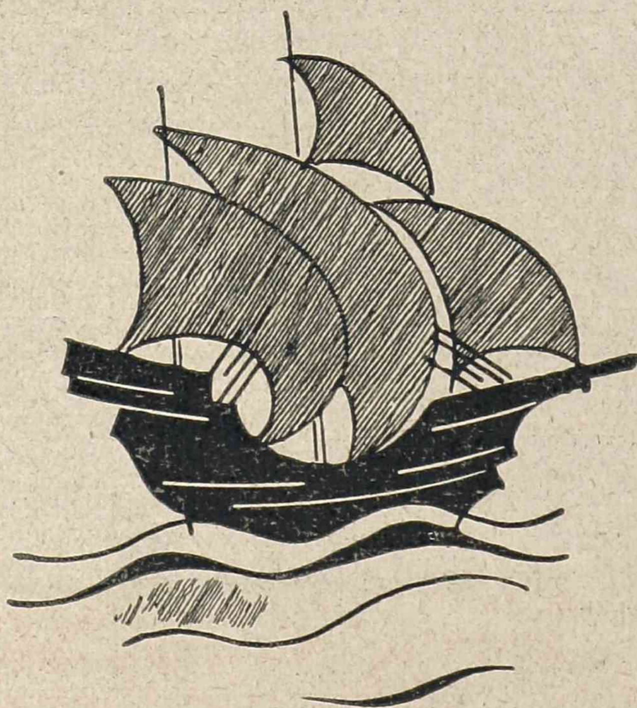
Odpierając najazd bolszewicki, Polska ocaliła cywilizację Zachodu.

Teraz dopiero ci, którzy nas wyzwolili, przestali nam wysiłek swój wypominać.

I dlatego dzień zwycięskiego zakończenia naszej wojny z Rosją jest dla mnie bodaj niemniej wielki, niemniej przełomowy, niż pierwszy dzień wojny światowej.

Usprawiedliwił on to, co tamten zapowiedział. Odkuty z łańcucha, naród wsparł się na sobie i ruszył drogą samodzielną w przyszłość.

W. Rzymowski



„Świat" i akademja literatury

Nie od rzeczy będzie przypomnieć w tym naszym numerze jubileuszowym, że projekt stworzenia polskiej Akademji Nieśmiertelnych wyszedł po raz pierwszy z łamów *Świata*. Z projektem tym wystąpił Wacław Grubiński w obszernym wstępnym artykule, uzasadniającym ufundowanie Akademji Literackiej względami niemal politycznemi. Działo się to za caratu i literatura polska w osobie Henryka Sienkiewicza przedewszystkiem, następnie zaś w osobie Stanisława Przybyszewskiego, była jedynym ambasadorem Polski ujarzmionej na terenie narodów o niezależnym bycie państwowym. Wacławowi Grubińskiemu chodziło o wzmożenie kulturalnego, ściślej, literackiego promieniowania Polski na świat cały, gdzie o nas zapominano jako o narodzie odrębnym, współpracującym w tworzeniu kultury europejskiej. Istnienie Akademji Literackiej w Polsce przypominałoby światu, że Polacy są narodem odrębnym o starej kulturze i utrudniłoby traktowanie nas na dalekim i nawet na bliskim Zachodzie jako barbarzyńców, wchłoniętych politycznie przez barbarzyńców mocniejszych, Rosjan, i przez dwa cywilizowane państwa germańskie. Nie zapominajmy, że już po światowym rozgłosie *Quo Vadis?* ukazał się francuski przekład nowel Sienkiewicza, jako pisarza rosyjskiego. Przekład z rosyjskiego!

Rząd carski zapewneby robił trudności w ufundowaniu, — nawet przy pomocy pieniędzy prywatnych. — Polskiej Akademji Literackiej. Zanim jednak kosztowny projekt Grubińskiego zaczął się realizować, sami ludzie pióra zaczęli go zwalczać. W przeświadczeniu, że taka Akademja to w narodzie rozdartym i ujarzmionym wielki zabytek, świetny publicysta, dzisiaj nieżyjący, Straszewicz, napisał artykuł pt. *Zegarek czy koszula?* Wychodził z założenia, że człowiekowi najpierw jest potrzebna koszula; na zegarek może poczekać. Grubiński był wręcz przeciwnego zdania. Koniec końców zrealizowanie tej najwyższej polskiej instytucji literackiej poszło wówczas w odwłokę.

Wiele się od tamtej pory zmieniło. Carat nie może nam zabronić ufundowania Akademji Literatury. Literaci polscy po dwuletnich dyskusjach doszli do jednomyślności. P. Marszałek Piłsudski wobec projektu Akademji Literackiej zajął stanowisko życzliwe. Życzliwie rozpatrywali ten projekt kolejni premjerowie ministrów i ministrowie oświaty, pp. Bartel, Świtalski, Sławek, Czerwiński i pan prezydent Mościcki usposobiony jest dla tej sprawy przychylnie. A jednak, a przecież...

Ale nie o to w tej chwili chodzi. Chodzi nam o przypomnienie, że pierwszy projekt ufundowania Akademji Literatury Polskiej zrodził się na łamach *Świata*.

Lub.



Stanisław Zawadzki

KSIĄDZ SKORUPKA



TRZY POKOLENIA

OFICER POLSKI

Ilustrował Kamil Mackiewicz

Wracam z miasta, pytam, kto dzwonił, mówią mi, że dzwonił redaktor Krzywoszewski.

— Prosił, żebyś napisał do jubileuszowego numeru „Świata" o oficerze polskim.

— O oficerze polskim? Dlaczego ja? Nie znam się już dziś na tem.

Potem dopiero zacząłem myśleć, skąd się to wzięło Krzywoszewskiemu, abym ja właśnie pisał do jubileuszowego numeru o oficerze?

Jest w tem zaproszeniu pewna głębsza intencja. Piętnaście lat temu, a więc w roku 1915 na jesieni, pierwszy artykuł, jaki ukazał się w prasie tygodniowej b. zaboru rosyjskiego o żywych polskich oficerach, był przecież mego pióra. Artykuł ów ukazał się w „Świecie".

O oficerach I-szej brygady Piłsudskiego.

Pamiętam, że niosłem ów artykuł do redakcji „Świata" nie bez obawy, bo to wtedy takie panowały orjentacje nastrojowe, polityczne i wojenne, że bałem się odmowy.

Od tego też zacząłem wówczas w redakcji „Świata" rozmowę.

— Nie wiem, redaktorze, jaką pan wyznaje orjentację.

— W tej kwestji, — odpowiedział mi wówczas Krzywoszewski i dotąd wdzięcznie mu to pamiętam, — niema, nie może być żadnych orjentacyj. Pisze pan przecież o polskiem wojsku! Jakież tu mogą być „orjentacje?!

Niecałe trzy brygady piechody z jednym pułkiem artylerji, z dwoma niepełnemi pułkami szwoleżerów i z kilku jeszcze pomocniczemi oddziałami nazywaliśmy wtedy polskiem wojskiem.

Co się z tego zrobiło przez lat piętnaście?

Armja.

Ówcześni oficerowie z roku 1915, o których pierwszy artykuł w uwolnionym od Rosjan b. zaborze zamieścił „Świat", rozmnożyli się w korpus liczący chyba do dwudziestu tysięcy ludzi.

Armję tworzy genjusz wodza, wypracowują ją jednak, wykonują w jej codziennym a trwałym kształcie oficerowie. Duchem armji jest wódz, jej ciałem, jej mięśniami są podoficerowie i wielka masa szeregowych, nerwami jednak armji, aparatem jej ruchu, władzy, sprężystości, trwałości są oficerowie.

To właśnie szlachetne piętno pracy, wysiłku i powagi znamionuje polskiego oficera. Kto się na wojsku zna, ten pozna ów wysiłek pracy już

z pierwszego rzutu oka po wyglądzie zewnętrznym.

Mało ozdób na mundurze, sam mundur stosunkowo mało barwny. Sposób bycia zawsze jakby nieco zaabsorbowany, skromny. Świeżość czy też sportowa sprężystość postaci, pozbawioną jednak całkowicie chęci narzucenia się. W odróżnieniu od innych stanów stała powściągliwość, może nawet coś w rodzaju nieufności do otoczenia.

Sądzę, że cechy te wynikają z ogromnej pracy przerobionej przez oficerów pośród społeczeństwa naszego wśród bardzo ciężkich i twardych warunków. Trzeba pamiętać, gdy się o tych warunkach mówi, że każdy inny zawód, nawet doktorski, nawet redaktorski, ma chwile odpoczynku, podczas gdy stan oficerski z racji swego powołania jest właściwie stale na służbie.

Wolny zawód pracuje wedle swych sił, urzędnik pracuje wedle godzin oznaczonych, artysta wedle swego natchnienia, rolnik wedle pór roku i pogody, — oficer zawsze wedle swojej służby, która, prawdę rzekłszy, nigdy nie ustaje.

Nasz oficer daje sobie radę z zadaniem, które spadło na jego barki, wyszedł bowiem z najcięższej szkoły, to jest ze szkoły wielkiej wojny.

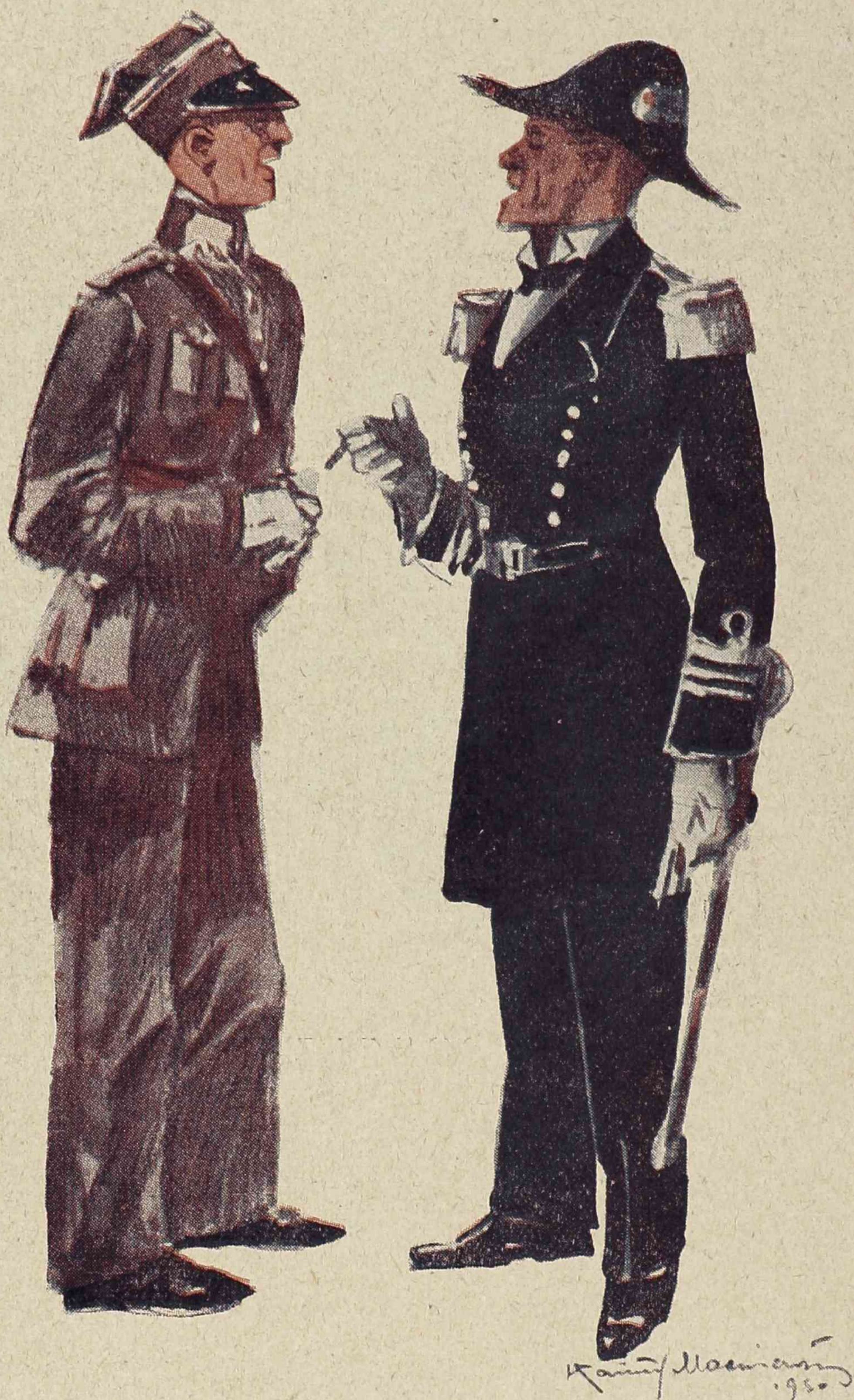
Z wielkiej wojny, z walk o wolność ojczyzny i z walki prowadzonej przez szkołę Piłsudskiego już od roku 1907. Tylko tak ciężkie i twarde doświadczenia mogły dać dzisiejszemu oficerowi polskiemu siłę do udźwignięcia olbrzymiej pracy organizatorskiej, którą spełnia w społeczeństwie.

Jest to praca dwojakiego rodzaju: bezpośrednia, linjowa, i kierownicza, sztabowa.

Przeciętny obywatel nie zdaje sobie nawet sprawy z ogromu pracy, jaką spełnia oficer linjowy. Widzimy go na mieście, czy w kawiarni, czy w towarzystwie, odróżnia się od nas cywilów czerstwym wyglądem, pewną zbornością postaci, pewnym organizacyjno-sportowym polorem i sądzimy, że człowiek ten ma świetne, łatwe życie!

Życie to nie jest bynajmniej łatwe. Zawalone jest codziennemi ćwiczeniami, bardzo mozolną szkołą ostrego strzelania, w zimie pracą nad grami wojennemi, w lecie ciężkim okresem wielkich ćwiczeń w terenie.

Dodać do tego trzeba całą pracę wychowawczą, jaką spełnia oficer. Jest on przecież dziś jeszcze i na długie lata nauczycielem organizacyjnego życia narodowego. To on urabia co roku i kształci i uczy czytać, pisać i rachować rekrutów. Uczy ich pierwszych elementów życia zbiorowego w Ojczyźnie, to on dopiero



LOTNIK I MARYNARZ

(jakże często) uczy ich używać mydła, czesać się, myć nogi, ba, co więcej, — używać tajemniczego instrumentu, którym jest w danym wypadku — szczoteczka do zębów.

To on patrzy pobłażliwie, jak przyszedłszy do koszar, rekruci dalekich stron żegnają się trwożnie, gdy mają przekręcić kontakt elektryczny, czy też chowają do kuferków lampki elektryczne w nadziei, że te odkręcone lampki będą mogły same świecić. To on zaczyna budzić dopiero fantazję tych chłopaków, którzy znalazłszy się pierwszy raz w życiu na pokazie filmowym, zasypiają wszyscy, tak dalece obcą i niepojętą wydaje się im wizja niezrozumiałych obrazków.

To on, ten oficer, pochłania, czy przerabia co roku wielką masę rezerwistów, z którą musi pracować tak pilnie, by w krótkim czasie nauczyć ją wszystkich nowości technicznych, a zarazem utrwalić w ciężkiej wojskowej dyscyplinie. To on przez Przysposobienie Wojskowe obejmuje swą pracą całą młodzież, mając tu do spełnienia zadanie nad wyraz trudne: Uniknąć bowiem musi wszystkich różnolitych prądów politycznych, przekonaniowych, jakie młodzież przynosi z zewnątrz, wszczepić zaś musi tej młodzieży wielką i trudną zasadę istoty służby wojskowej: posłuchu, poświęcenia i dyscypliny.

Tak więc dzisiejszy oficer, to znaczy w jednej osobie technik, gospodarz, sportowiec i żołnierz, łączy jeszcze w swych funkcjach ogromną pracę nauczyciela. Nauczyciela, — który musi sobie poradzić z niezmiernie różnolitym materjałem: od nieokrzesanego rekruta aż do młodzieńca ze studjami uniwersyteckiemi.

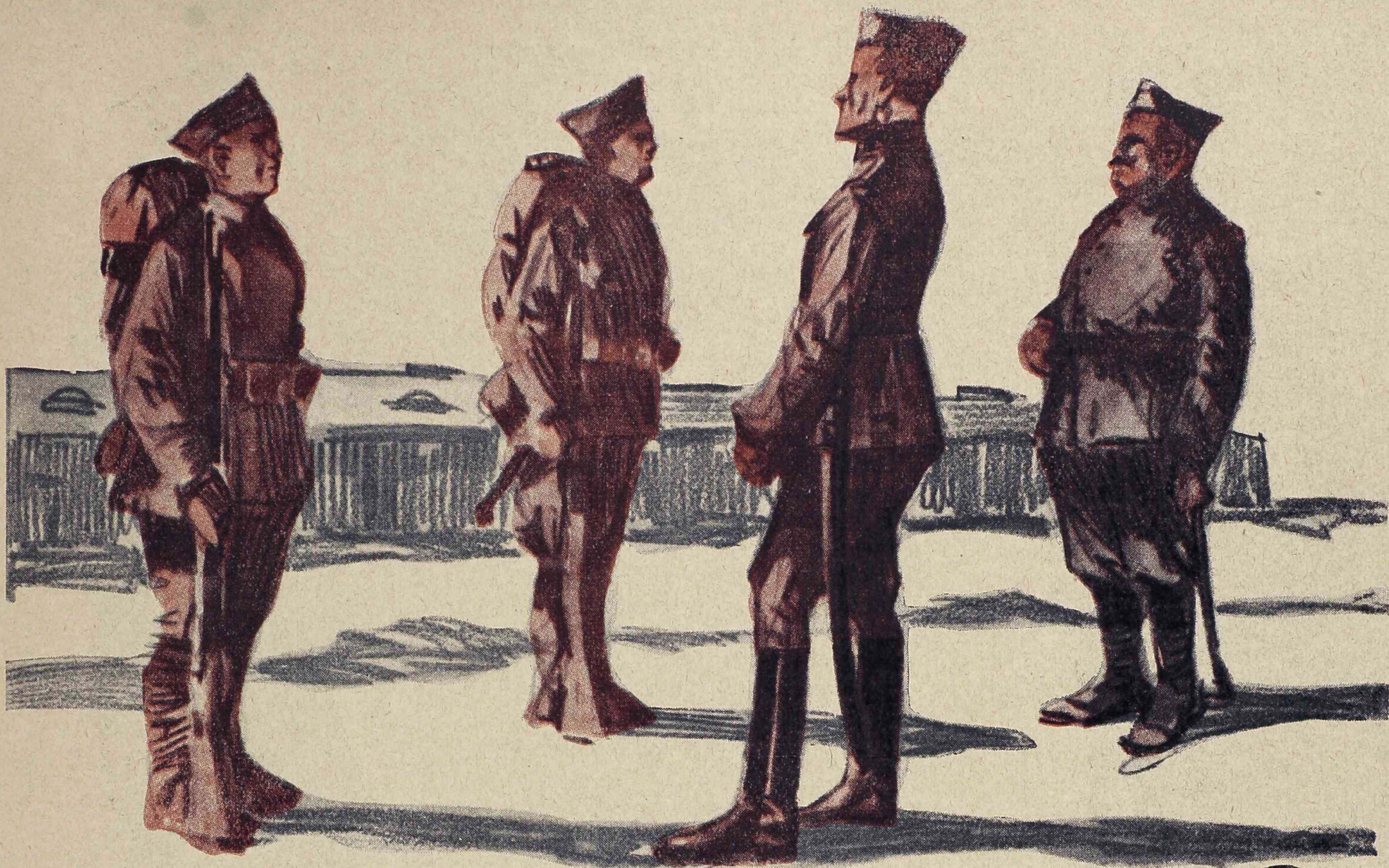
Praca kierunkowa, myślowa wytwarza typ t. zw. oficera sztabowego. Ów oficer sztabowy nie musi tak pracować fizycznie, jak linjowy, zawalony jest jednak ciężką i odpowiedzialną pracą myślową.

Musi się znać, oprócz dziedzin ściśle wojskowych, — na sprawach, o których nie przypuściłby nigdy t. zw. przeciętny obywatel, że wchodzą w zakres nędzy wojskowej.

Dość tu wspomnieć o ogromnym dziale zaopatrywania armji. Czy też o kolejnictwie. Czy o tem wszystkiem, co wchodzi w kalkulację poruszania się i transportu wojska. Czy o tem wszystkiem, co wchodzi w zakres gospodarki, lub kontroli. Od sądownictwa do zelówek, od zelówek, czy miejsca, jakie zajmie na szosie pułk, lub brygada, do najsubtelniejszych kompleksów politycznych, — sztabowiec musi mieć pojęcie o wszystkiem.

Szeroki ogół nie zdaje sobie sprawy z tego ogromu pracy, sądząc stan oficerski z trzeciej odmiany, spotykanej w życiu publicznem, to jest z t. zw. oficera zbytkownego.

Wyliczyliśmy tu dwie odmiany: linjowiec, sztabowiec, a oto trzecie



NA PODWÓRZU KOSZAROWEM (PIECHOTA)

— oficer zbytkowny. Na pokaz. Reprezentacyjny.

Szeroki ogół nie wie nawet, jak właśnie ta pozornie miła rola ciężką i żmudną jest dla oficera. Traci on przez nią kolejność swego awansu; traci swe miejsce w pułku, traci wszelkie okazje swego dalszego wyszkolenia.

Oficerowie nasi, — co wymownie świadczy o ich rzeczywistej powadze, — odrzekają się wszelkiemi siłami od tej reprezentacyjnej roli, która mimo, że żmudna, kłopotliwa i absorbująca, odbija się zawsze niekorzystnie na ich istotnej karjerze wojskowej.

Ogólny wizerunek oficera zawiera jeszcze wewnętrzne różnice, wynikające z różnic między gatunkami broni.

Najprostszy, najsurowszy i najpowszechniejszy jest typ oficera piechoty. Wynika to już z samych założeń tej kapitalnej broni: Oficer piechoty idzie zawsze ze swoją kolumną. Gdy młodszy, — maszeruje w czwórkach. Jest on jakgdyby całkowicie wtarty w wielką masę ludzką. Ponosi za nią odpowiedzialność, której niczem nie może umniejszyć.

Wszyscy inni, oficerowie innych broni, mają już inne, nieco lepsze życie. Dlatego, że już w założeniu ich broni jest nietylko praca człowieka, lecz człowieka współpracującego z koniem, lub maszyną.

Wojna — to rzecz bezwzględna. Z człowieka może a często musi wygnać ostatni jego dech. Od człowieka żądać może i musi często po nad możność ludzką. I tylko człowiek może się zdobyć na to, by przekroczyć granice swej możności. Trudno skłonić do tego konia, czy maszynę.

Z tych względów do charakteru tamtych broni, to jest kawalerji, czy artylerji, może się wkraść pewien, — że tak powiemy, łagodniejszy, czy wolniejszy tryb życia. Koń, stworzenie rzekomo głupie a w gruncie rzeczy bardzo mądre, gdyż nie dające się skutecznie traktować poniżej potrzeb własnych, wprowadza do współżycia ludzkiego pewien mądry, gospodarski, czy sielski, czy może nawet dworkowy typ koleżeńskiego szlagońtwa. Dlatego typ oficera jazdy jest zawsze jakby milszy, lżejszy, jakgdyby bardziej ludzki. I musi takim być i niechby spróbował takim nie być, — to przestanie być sobą, bo koń, którego w takich warunkach nie zdołanoby dostatecznie uszanować, cóż wtedy robi?

Wtedy koń „bierze“ i zdycha — i niema kawalerji.

To samo, mniej więcej, powiedzieć można o maszynie a więc wszelkiej armacie lekkiej, ciężkiej i o całym przyborze lotniczym, czy saperskim, czy związanym z czołgami i każdą inną bronią techniczną.

Mówiło się tu o oficerze linjowym, sztabowym, nawet reprezentacyjnym a pominięty został typ inny, cywilom najbliższy może, w życiu zaś zbiorowym tak pożądany i najmilszy — typ towarzyski.

Na kresach korpus oficerski jest głównym pionem wszelkiego życia towarzyskiego i kulturalnego. To oni przecież, oficerowie, którzy „ściągają się z ostatniego“ na swą orkiestrę pułkową i na kasyno i na wyfroterowaną salę kasyna, to oni przecież prowadzą cały karnawał. To oni przecież są jedyną i najlepszą gwarancją powodzenia zabawy we dworach okolicznych. To oni wnoszą tu wszędzie pewien dworski i rycerski obyczaj, oni ustanawiają święta obchodów i rocznic własnych, przez nich wpływa na te obszary każda nowość kulturalna, jak radjo, jak nowe odczyty, jak nowe drogi itp.

O oficera polskiego wspiera się na kresach cała kultura towarzyska i obyczajowa i nawet artystyczna, gdy przyjmiemy pod uwagę, że prawie we wszystkich razach korpus oficerski stanowi tutaj o powodzeniu teatru.

się mniejszem i radość umie zobaczyć już tam, gdzie cywil nie może jeszcze dojrzeć przelotnego zadowolenia.

Najlepiej objaśnić na przykładzie: Jechałem kiedyś w przedziale kolejowym, podczas karnawału, z kilku dość ważnymi prowincjonalnymi tuzami. Skarżyli się, że są bardzo zajęci, że się nudzą tu na prowincji i że karnawał nie dostarcza im żadnej rozrywki.

Naprzeciw nas siedziała w wagonie młoda para. Panienka w balowej toalecie i młody poruczniczek. Jechali na bal do Brześcia.

Pociąg do Brześcia przychodził po pierwszej w nocy. Jechali na ten bal z miasta oddalonego od Brześcia o trzy godziny koleją.

Z półsłówek porucznika wymiarkowałem, iż mało brakowało, by się spóźnił na pociąg. Rano był na ćwiczeniach, potem mieli jakiś przegląd w bataljonie, potem jakieś omówienie, zdawanie służby. Porucznik ów był od rana prawie do odejścia pociągu w koszarach.

A jednak zdążyli i teraz jechali tak radośni, szczęśliwi. I gdy my to-



OFICER PIECHOTY



SZWOLEŻER

Tosamo, co o kresach, gdzie oficer jest pionierem nietylko polskości, lecz wogóle kultury, powiedzieć można i o naszej prowincji. Z ciężkiemi warunkami życia prowincjonalnego często nie możnaby tu sobie dać rady, — gdyby nie wojsko.

Czy to odczyt, czy bal, czy jakaś kwesta, czy akademja, czy rocznica, — jeżeli w takiej sprawie bierze udział wojsko, ma ona zapewnione powodzenie.

A przecież tym wojskowym nie powodzi się lepiej od cywilów. Przeciwnie, w porównaniu z wojskowymi, lepiej dzieje się cywilom. Może jednak grają tu rolę inne, wyższe względy: Człowiek wojskowy, ze wszystkich stron objęty twardą, surową dyscypliną, porający się wciąż z ciężkim zagadnieniem nałamywania siebie samego i innych do wielkich wymogów wyższego dobra, ma w sobie bardziej żywe poczucie wyższej idei. Jest, — może właśnie dlatego, — skromniejszy od cywila, kontentuje



TAMBOR — PIECHOTY

czyliśmy się ociężale po pustym zimnym dworcu brzeskim, oni już zakręcali saneczkami daleko za dworcem: Ona w lekkim futerku na balowej toalecie, on w lakierkach i w zwykłym płaszczu wojskowym na taki mróz!

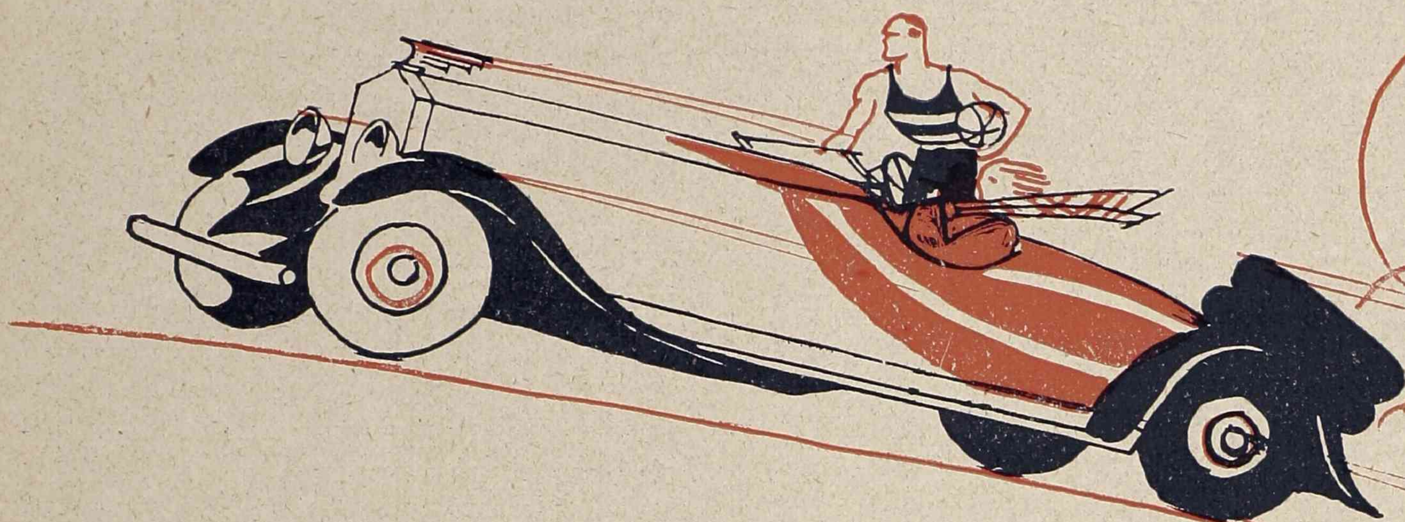
Powiecie, — bo to byli narzeczeni.

Tak, prawda, byli to narzeczeni. Ale żaden z nas cywilów nie potrafiłby namówić swej narzeczonej na taką jazdę w balowej toalecie, podczas takiego mrozu. A porucznik potrafił ją namówić i sam przecie pojechał po całym dniu tak ciężkiej pracy.

Dlaczego? Dlatego, że ten porucznik, jak każdy człowiek ciężko w życiu doświadczany i próbowany, posiada większy od naszego zmysł siły i radości życia.

Ów zmysł siły, radości, wynikający z ciężkiej, twardej szkoły, to chyba największy wdzięk naszych oficerów.

Juljusz Kaden Bandrowski

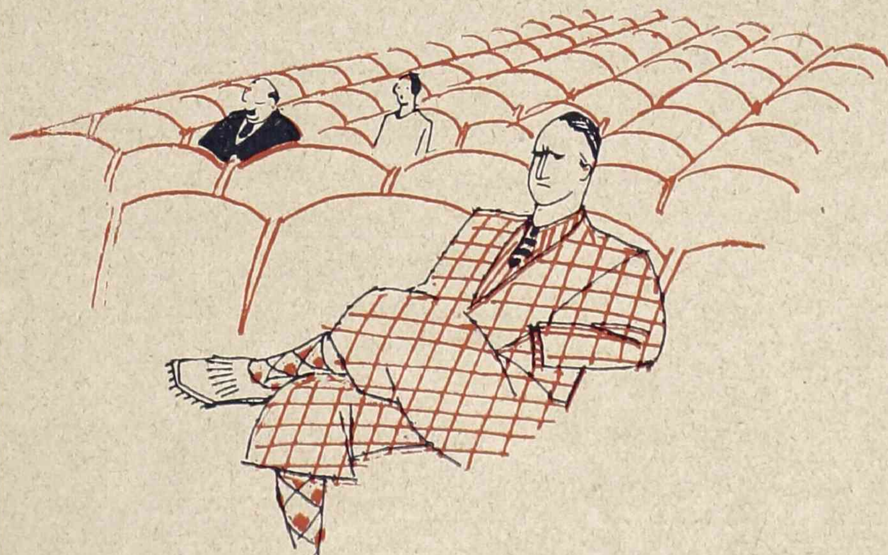


PIĘKNE PANIE I „ŚWIAT"

Ilustrował Stefan Norblin

Pensjonarka, która wielkiemi oczami, ciekawemi życia, pochłaniała gorączkowo pierwszy numer *Świata*, w uprawnionem roztęsknieniu za zrywaniem fruktów z drzewa wiadomości dobrego i złego, marzyła o długiej sukni. Bowiem przed dwudziestu pięciu laty w Polsce i w Europie Zachodniej rajskie drzewo grdykotwórcze boskiej przedhistorycznej epoki przeistoczyło się niepostrzeżenie dla potomkini Ewy w sukienkę do ziemi. Pensjonarka zaabonowała *Świat*, skończyła pensję, zaręczyła się na fajfokloku z młodym inżynierem, włożyła pierwszą długą suknię na pierwszy publiczny bal. Mówili jej wszyscy na tym wspaniałym balu, że wygląda ślicznie, i sama to, zresztą, czuła (inżynier-narzeczony wściekał się z zazdrości). Napisała do kuzynek na wsi, że nic się na świecie nie może równać z sukienką do ziemi. Dzisiaj zaś, jako matka dwudziestoletniej córy, znów chodzi w krótkiej panieńskiej sukience, a na dancingu wszyscy jej mówią, że jest porywająca, i sama to czuje, i czuje, że jest dzisiaj młodsza, niż była wówczas, na pierwszym swym balu publicznym, fotografowana dla uroczej sukienki do ziemi i w grupie najpiękniej ubranych pań reprodukowana (w *Świecie*, rocznik... taki a taki). Dlatego roczniki *Świata* ówczesna panienka, ubrana „długo" a dzisiejsza matka ubrana „krótko", uważa poniekąd za swoje pamiętniki. Tutaj są zanotowane fotograficznie i rysunkowo pochody narodowe, sceny rewolucyjne, rosyjski stójkowy w pomidorowym kołnierzu, fijołkowy żandarm, rozszarpany przez bombę, ulubieni aktorzy przedwojennych czasów, uwielbiane aktorki, dzisiaj stanowiące ozdobę sfer rządowych, arystokratycznych, wielkiej finansiery, przemysłu, ziemiaństwa... Panienka (ówczesna) paluszkami dzisiejszej matki à la garçonne przewraca karty *Świata*, śmieje się do Gasińskiego, który już nie żyje, widzi Srokowskiego, dzisiaj tak zapomnianego, jak gdyby nigdy był nie istniał, (co to był za hałas, ten jego *Kult ciała!*), przypomina sobie, że autora *Epigonów* poznała osobiście u państwa Snobostwa i zasłyszała niechcący, co mówił w podnieceniu do pewnego wymoczkowatego „dekadenta", między fałdzistą portjerą a rozłożystym fotelem: „Pamiętaj, kochasiu: wolno udusić rodzonego ojca, wolno zasztyletować najrodzeńszą matkę, wolno przehandlować siostrę, brata, córkę; jednego tylko nie wolno: nie wolno nie mieć pieniędzy!" Ogarnęło ją przerażenie. Wówczas. Teraz się uśmiecha. Przewraca dalsze kartki: Kamiński w roli Molnarowskiego *Djabła*. Śniła trzy noce z rzędu o tym uczłowieczonym wężu z jabłecznej gałęzi rajskiej. Chciała napisać do niego list, chciała zatelefonować, ale powstrzymało ją „to, co najważniejsze", to, że nie wypada. I jeszcze ją coś powstrzymało: Redo. W jakiej występował operetce: w *Bohaterach* Oscara Straussa, czy w *Zemście nietoperza* Jana Straussa, czy może w...? Młody, zgrabny, tańczący jak rozszalały bóg, śpiewający świetnie, lecz sobie tylko wiadomym sposobem, ideał warszawianek aż do chwili, gdy Juljusz Osterwa wystąpił w *Tajemniczym Dżemsie* (blady brunet z białym, jak mleko, przedziałkiem przez środek głowy). Siedziała wówczas w drugim rzędzie, miała na sobie różową sukienkę, którą nieustannie lornetowała z loży generałgubernatora jakaś gruba rosjanka w pistacjowej toalecie, przybranej pąsowemi wstęgami. Później tą samą grubą babę widziała na polu Mokotowskiem podczas pierwszych wzlotów aeroplanowych. Latał pilot Segno i na zakręcie spadł, ale się nie zabił.

Iluż znakomitych ludzi poznawała abonentka *Świata* przez fotografje, zamieszczane w lot na łamach tego tygodnika, palpitującego życiem i aktualnością! Aga-han, panujący arcyksiążę indyjski, ciemnoskóry maharadża, zakochany w polskiej tancerce, teraz ożeniony z francuską panną sklepową. Bohdan hr. Ronikier, autor *Karjery*, zawikłany w sprawę



DZISIEJSZA PUBLICZNOŚĆ W OPERZE

o morderstwo. Pani Curie-Skłodowska, uwieńczona wielką nagrodą Nobla. Bleriot, pierwszy przelot przez La Manche. Macoch, tępy mnich, mordujący z premedytacją bliskiego krewnego na Jasnej Górze. Bernard Shaw, komedjopisarz, debjutujący na scenie w czterdziestym siódmym roku życia, obecnie współczesnym Molierem zwany. Tutaj drukowali swoje utwory tak ulubieni przez kobiety powieściopisarze polscy, jak Weyssenhoff, jak Przybyszewski, jak Kazimierz Tetmajer, i wyborny znawca mieszczaństwa warszawskiego, Alfred Konar. Przez *Świat* przepływały dreszcze angielskiej, francuskiej, włoskiej, hiszpańskiej, rosyjskiej literatury i dreszcze te najpierw udzielały się kobietom, bo przecież wiadomo, że „zaorany" mąż najczęściej się dowiaduje od inteligentnej żony, co warto przeczytać. Nie zawsze coprawda dowiaduje się o tem od własnej żony, ale nie ulega wątpliwości, że i cudza żona jest kobietą, nawet podobno bardziej jest kobietą, niż żona własna, jeżeli wierzyć niektórym uczonym specjalistom. Cudza żona ma przedewszystkiem tę niesłychaną zaletę, że nie jest naszą żoną, jak kategorycznie utrzymują uczeni fachowcy. Ja jestem wręcz przeciwnego zdania, ale uczeni badacze przedmiotu argumentują z logiką matematyczną, że nic łatwiejszego, jak rozwieść ukochaną mężatkę i zacnie ją poślubić, a przecież czynią to niezwykle rzadko nawet bezdzietni kawalerowie, co ma nieodparcie świadczyć, iż zakochany mężczyzna za największy wdzięk niewieści uważa jej męża, i wdzięku tego nie chce jej za nic pozbawić. Zresztą, *honny soi qui mal y pense,* jak mówi angielska dewiza, wypisana na podwiązce. Kochać i być kochanym nikomu nie przynosi ujmy. Ale nie brnijmy w rozważania epiktetyczno-aureljuszowskie, gdy bije jubileuszowa arcygodzina *Świata* i gdy wytworna Polka, skróciwszy włosy i sukienkę, obchodzi srebrne wesele obcowania z papierowem, lecz jakże żywem, dziecięciem Stefana Krzywoszewskiego.

Swoją wielką popularność „*Świat*" zawdzięcza temu, że nigdy nie był nudny, że nie pomijając najdonioślejszych zagadnień społecznych, umiał o nich mówić zajmująco, że potrafił flirtować nawet na tematy naukowe, że składając się z przeciwnikami (mój Boże! któż ich nie ma?!) bronią polemiczną, przeszywał adwersjuszów ostrym argumentem, gładko uśmiechnięty, bez wyzwisk i wrzasków, mimo że zdarzało mu się miewać do czynienia z opętańcami ordynarności, spienionymi, niby w paroksyzmie choroby świętego Wita. Za to dobre wychowanie kobiety lubiły *Świat* i lubią, i coraz bardziej go lubią, bo coraz trudniej o dobre maniery na tym padole, coraz pokraczniej demokratycznym, w tej zwarjowanej epoce absurdalnej równości kretyna i genjusza, woziwody i Lindbergha, na tym znamiennym zakręcie historji, gdzie zażarci pacyfiści wybijają sobie szanowne szczęki mądrości karabinem maszynowym unowocześnionej miłości bliźniego.

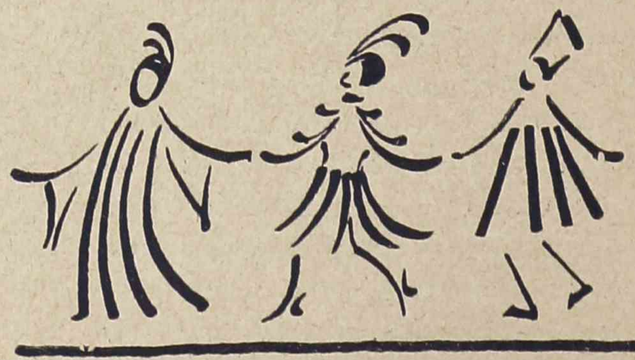


PRZED 25-CIU LATY

Ludziom kulturalnym podobał się *Świat* Krzywoszewskiego dlatego, że broniąc spraw słusznych i oświetlając sprawy zawikłane, nie zapalano tu nigdy żadnym szczerym przekonaniom stosów fanatyzmu i nikt się tu nigdy nie porywał na pieniste obrażanie cudzych uczciwych przeświadczeń. W rozagitowanych sferach społecznych o niższej kulturze intelektualnej i towarzyskiej nietylko u nas, ale i w innych krajach, niemal nie rozumieją, że ludzie dwóch odmiennych partji politycznych mogą być ludźmi o jednakowej prawości. Na szpaltach *Świata* mogli się spotykać bez wzajemnej urazy socjalista i imperjalista, militarysta i kwietysta, mistyk i niedowiarek, mogli się z sobą dowoli tutaj spierać i w przyjaźni się rozstawać, bo szpalty te zawsze tchnęły tem, co ludzkość ma najcenniejszego, do czego się w najlepszych swych przedstawicielach po długich stuleciach mozolnie dopracowała: tchnęły atmosferą dobrej wiary, ufności człowieka do człowieka, szacunku dla człowieczego rozumu, chociaż jest omylny. *Świat* mógłby o sobie powiedzieć paradoksalnie, jak ów fenomenalny powieściopisarz francuski, sztandarowy mąż nacjonalizmu francuskiego, genjalny Maurice Barres, żywe przeciwstawienie genialnego Anatola France'a: „Jestem ateistą i, oczywiście, katolikiem". Co miało znaczyć, że uwielbienie dla krytycznej myśli, idącej do końca bez zmrużenia powiek, łączył z głęboką religijnością. Na szpaltach *Świata* kult odkrywczej myśli ludzkiej spotykał się z głębokiem poszanowaniem uczuć religijnych. I wreszcie ogromną popularność swoją *Świat* zdobył na świecie przez to, że nigdy nie popadł w śmiertelny grzech pedanterji. Tę wielką cnotę zawdzięcza swemu znakomitemu twórcy, ta cnota sprawia, że obaj, *Świat* i Krzywoszewski, posiedli tajemnicę niestarzenia się, a młodość, pełna wigoru, była, jest i będzie, będzie do końca świata największym powabem czasopism.

Od jutra *Świat* rozpoczyna drugie dwudziestopięciolecie swojego świetnego istnienia. Chwila uroczysta. Nie mogę się powstrzymać od wyrażenia Mu najserdeczniejszych życzeń. Niech jego wielka popularność stale wzrasta, niech co sobota będzie oczekiwany z niecierpliwością, oglądany łapczywie, czytany z satysfakcją. Niech jego nakład już w dwudziestym szóstym roku jego egzystencji wzrośnie do dwustu tysięcy egzemplarzy (samych obszarników, *obszarników*, jest w Polsce dwadzieścia dwa tysiące; doliczcie do tego mniej bogatych ziemian, wszystkie poczekalnie lekarskie, dentystyczne, kawiarnie...). A zwłaszcza niech się nadal interesują nim piękne panie! Tego mu życzę najgoręcej. Za paniami zawsz idą panowie. Licznie. Bardzo licznie. Tłumnie.

Wacław Grubiński





PRZED 25 LATY... „ŚWIAT“ NA ULICACH WARSZAWY



M. DAFFINGER · J. B. LAMPI D. A. · FRANZ SCHROTSBERG · JOSEF GRASSI · EMANUEL PETER
ŻONA ARTYSTY · BARON PEREZ-PEREZ · CESARZOWA ELŻBIETA · HR. JABŁONSKA · DAMA W KORONKACH

Inicjatorzy wiedeńskiej wystawy zebrali około 200 obrazów, miniatur i figurynek z okresu lat 1800 — 1850. Jakkolwiek wystawa udała się świetnie, nazwa jej stoi pod jednym wielkim znakiem zapytania. Piękności i typów tu zebranych, chociażby i w pewnej mierze charakterystycznych dla Wiednia ówczesnej epoki, nie należy ujmować pod zbiorowem mianem Wiedenki. Lata 1800 — 1850, kiedy stolica Austrji była jaknajbardziej kosmopolityczną, sprowadzały do Wiednia przedstawicieli wielkich rodów całego świata, a w wielkim świecie i w światku roiło się od międzynarodowych arystokratów, a także awanturników. W 1814 r. był kongres wiedeński, ten wielki jarmark światowy, na który spieszył każdy, by coś nie coś utargować. Jarmark wielkiej polityki, intryg, miłostek i próżności. „Le congrès nie marche pas, il danse", mówi o nim książę de Ligne, a do tego tańca stanęły oprócz Wiedenek piękne i mniej piękne panie ze wszystkich krajów. W pamiętnikach słynnego hr. Augusta La Garde, lub w tajnych zapiskach policji austryjackiej spotyka się wciąż nazwiska francuskie, angielskie, czeskie, węgierskie i dużo wzmianek o Polkach, p.p. Lubomirskiej, Potockiej, Rzewuskiej, Jabłonowskiej i innych. Któż wie, czy która z nich nie kryje się pod nierozpoznanym portretem lub miniaturą nieznajomej? A tam, gdzie wiadome są nazwiska? Lanckorońska, Rzewuska, Lichnowska, czyżby to były wszystko rodowite wiedenki?

Lecz spór to jałowy! Powiedzmy, że to nie same piękne wiedenki, lecz piękne panie z całego świata, dały sobie dziś rendez-vous w galerji na Dortheerstrasse. Jak przystało na czasy demokratyczne, do ściśle arystokratycznego kółka pierwszego okresu przyłączyły się później i sfery mieszczaństwa, żony i córki malarzy i słynna tancerka Fanny Elsler,

WIEDENKI







A. ANREITER · CARL V. SAAR · F. V. AMERLING · CARL AGRICOLA · JOSEF GRASSI
TERESA HIRSCHLER · DZIEWCZYNA · WDOWA · ŻONA ARTYSTY · KSIĘŻNA LICHNOWSKA

piewaczka Jenny Lind, aktorki Schrödter-Devrient i Peche.

Przy organizowaniu wystawy nie kierowano się doborem malarzy, ale jedynie względami na charakter i typ kobiecy. Możnaby powiedzieć, że są tu przedstawicielki dwóch epok: Kończącego się już a raczej zakończonego XVIII-go stulecia, którego reminiscencje pokutują dziś we wszystkich działach sztuki, w liryce, powieści, dramacie, w operze, operetce i w kinie, który się przypomina nam wznowionem wydaniem „Liasons dangereuses" Choderlos de Laclos, czy też listami miłosnemi panny de Lespinasse. I epoki drugiej, ostatniej ery świetności byłej monarchji austrjackiej. Ery, w której malarstwo portretu znajdowało się prawie niepodzielnie pod wpływem anglika Lawrence'a, a którego obrazy, jak i obrazy jego naśladowców, były „la rage" współczesnych. Są to portrety kobiet wyidealizowanych, powiewnych, tonących w obłokach i welonach i związanych jakoby tylko ciałem z tym padołem płaczu a duszą dążące w zaświaty. Lecz rozmarzone oczy, kontury miękkie szyi i piersi, szaty, które raczej obnażać, niż osłaniać się zdają, zdradzają, że te melancholijne na pozór piękności nie były głuche i nieczułe na poklask i podziw tu na ziemi.

Dobry ton nakazywał, by kobieta otaczała się aureolą smutku i melancholji, by wzgardę okazywała radości. Cóż kiedy widz zda się z wyrazu oczu, z pełnych warg odgadywać myśli ukryte za gładkiemi czołami zgromadzonych portretów i dochodzi do wniosku, że pomimo wzgardy, słodycz tych radości pojąć umiały. Obok znanych nazwisk malarzy niemieckich i austrjackich spotykamy popularne w Polsce nazwiska Lampiego i Grassi'ego oraz francuza Raffet i kilku innych cudzoziemców.

S. G.

J. LEMAŃSKI

W LESIE

Dostojność swą potężnym oznajmując rykiem,
Osioł spotkał się w gąszczu leśnym ze słowikiem.
— Jestem osioł — rzekł: — a ty, ptaszyno uboga,
Coś zacz? — Słowik, lecz nie rycz tak u Pana Boga!
— Dlaczego mam nie ryczeć? Nie jestem kaleką.
Mam głos jak do opery... — Tu wilk niedaleko,
Usłyszy cię i zginiesz. Ucisz ryk, bądź niemy.
— Co? — wrzasnął osioł: — przecież my z ryku słyniemy.
Bez nas byłyby martwe parlamenty, wiece.
Ufam, że oratorstwem i w wilku cześć wzniecę
Hop! hop! hop! Niech przybywa. Kpię z jego paszczęki.
I nuż osioł wydawać z siebie zgrzyty, szczęki...

Tymczasem wilk pocichu człap-człap z za jałowca,
Wysunął pysk i rzecze: — Brawo, brawo, mówca!
Pochwalam i oceniam głośne animusze.
Ale dzisiaj dokucza mi głód. Zjeść cię muszę.
Osioł zdrętwiał. Nie może ni rusz w las dać nura.
Oniemiał. Śmierć zajrzała w oczy mu ponura.
Ale słowik, to widząc, jął śpiewać tak cudnie,
Że chudy wilk, acz świadom, że tembardziej schudnie
Bez oślich mięs, gdy w trele słowicze się wsłucha,
Odroczył zamiar zjeść klapoucha.

. . . .

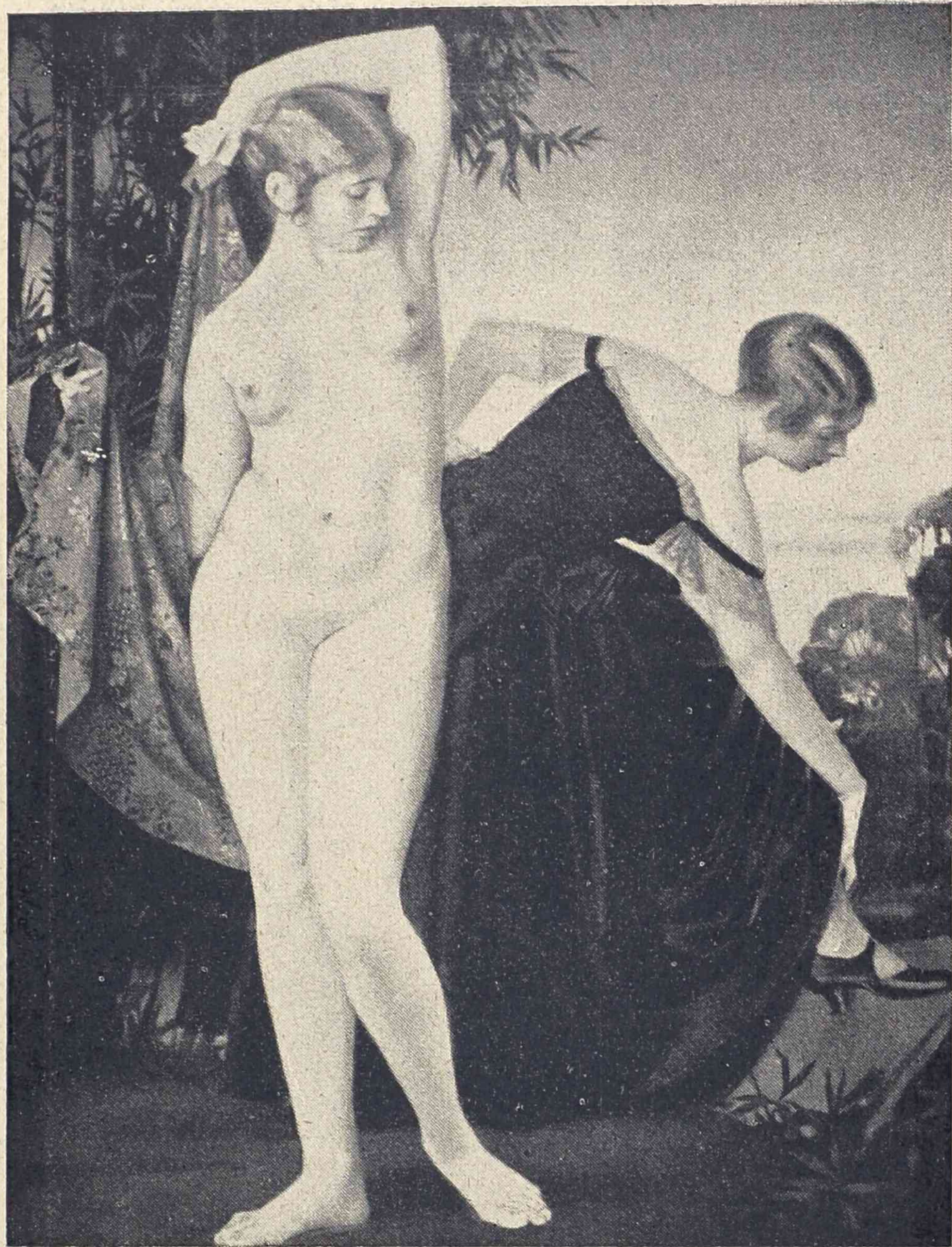
Morał? Ten jeden: milcz, nie rób hałasu
I nie wywołuj, ośle, wilka z lasu,
Drugi: wilk nawet, choć ma z głazu serce,
Bywa wzruszonym osłem... po koncercie.
Chcesz, abyś z wilkiem łatwo się uporał,
Graj mu słowiczo: to jest trzeci morał.



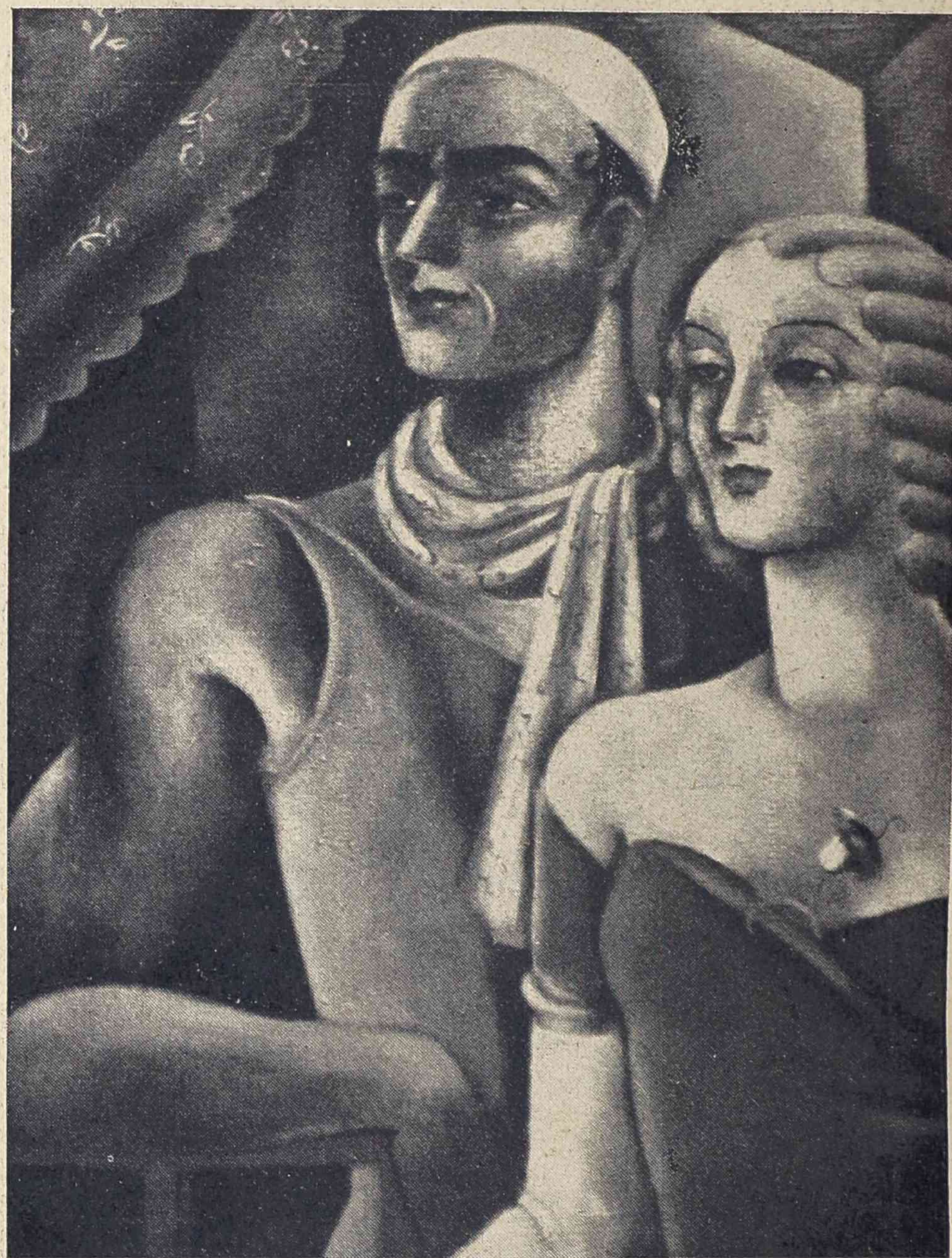
PLAC TEATRALNY W NOCY

Z WYSTAWY U BARYCZKÓW

Fot. Ianczewska



Boruciński M. „Letni wieczór"



Pokrzywnicka Irena „Cyrkowcy"



Polówna Halina „Bretanja"



Jarocki Wł. „Zimowe słońce"



Zofja Stankiewiczówna HEL

Prasa jako czynnik samodzielny

Przemiany, jakie zaszły w naszem życiu narodowem, bardzo wpłynęły na rolę i stanowisko prasy. Podczas, kiedy przed wojną, w okresie niewoli, pisma polskie prowadziły na własną rękę i na własną odpowiedzialność najczęściej — wielką robotę polityczną i kulturalną jednocześnie, stając się przez to samo potężną dźwignią rozwojową — w Polsce państwowo niezależnej utraciły one przeważnie swój charakter poprzedni i spadły do roli narządów, któremi posługuje się polityka praktyczna dla osiągnięcia swych konkretnych celów.

Pozornie jest tu wszystko w porządku... Prasa podporządkowała się wyższym racjom państwowym. Olbrzymie zadania, jakie obarczały ją w społeczeństwie, ujarzmionem przez obcych — przejęły poszczególne agendy naszej własnej już organizacji państwowej, kształtując wszechstronnie obecne życie Polski. Pismom przypadła rola informacyjna przedewszystkiem, a także agitacyjna, o ile są rzecznikiem tych czy owych stronnictw. Tak być zapewne musiało. W ten sposób rola prasy jednak bardzo zmalała. Czasopisma straciły jakgdyby swoją własną duszę, stając się odbiciem jedynie zarówno zdarzeń, jak i myśli, będących poza niemi i mających źródło swe w jakiejś innej woli.

Dziennikarstwo zdaje się godzić z tą swoją nową sytuacją i ambicje jego zmniejszają się gwałtownie. Rzadkie wydawnictwo marzy o tem, by znaczyć coś *samo przez się*, by zachować prawo wolnego sądu o rzeczach i wnosić własny wkład myślowy do ogólnej skarbnicy rozważań społeczeństwa. Ze zbiorowych indywidualizmów duchowych gazety zamieniają się w organa pomocnicze, z wirtuozów — w gramofony, w które zakłada ktoś nagrane płyty. Oryginalne naprawdę dociekania są na łamach, dzienników szczególniej, rzadkością. Większość ich, z najlepszą zresztą wiarą nieraz, *służy* tej albo innej koterji partyjnej i otrzymuje wskazania i zlecenia z jej sztabu. Taka *służba* jest w koordynowaniu wysiłków politycznych zrozumiałą aż nadto, zadań prasy nie wyczerpuje jednak. *Nastrajać* czytające zastępy tak lub owak — to nie jest wszystko, czego dokonać może publicystyka. To ani w części drobnej nie wyczerpuje jej przeznaczeń. Może ona oświecać i pogłębiać, rozszerzać horyzonty i rzucać w społeczeństwo ziarna nowych prawd i koncepcji. Może być w całem znaczeniu tego słowa współtwórcą rozwoju wyobrażeń i pojęć, mającym zakres działania i wdzięczny i rozległy. Może być tej czy innej ideologji komentatorem i wyznawcą, ale nie przytakiwaczem jedynie banalnym i jałowym, albo co gorsza złą bestją, spuszczaną co pewien czas ze smyczy na tego lub owego z krótkim nakazem: huzia!... Ta ostatnia funkcja szczególnie obniżyła poziom i godność prasy, obniżając jednocześnie i poziom obyczaju. O gazetach mówi się nieraz dziś: „ujadają jedne na drugie"... Przed wojną tak się nie mówiło... Nie same kwiaty wyrosły więc, jak widać, na niwie nowego bytowania naszego. Dziedzinę dziennikarstwa szczególniej pokryły złe i niepiękne chwasty.

Olbrzymia większość prasy poszła po linji najmniejszego oporu — oddała się wojującemu partyjnictwu, idąc pod komendę ciasnych zwykle i nieraz egoistycznych bardzo jego uroszczeń. Pisarz, o ile sam nie popadł w szał stronniczości, stał się posłusznym podkomendnym politycznego streberstwa albo ekonomicznego jednostronnego interesu. Stracił swój pióropusz rycerski i zamienił się w kondotjera... nieraz w zwykłego knechta. Przyszedł zresztą nowy rodzaj „pisarzy", szczególne mających do tego skłonności. Pióra mają maczane w jadzie, a dusze niewolnicze... Jest ich dziś wielu... Ongi było ich znacznie mniej.

Jedną z przyczyn tego stanowiła osobista wówczas jeszcze odpowiedzialność moralna za każdą myśl i za każde słowo — autora i pisma. Dziś chowają się oni za plecy jakiejś grupy, spełniając jej zlecenia przedewszystkiem i dmąc w jej dudkę bezustanku.

Dla toczonych walk politycznych, społecznych i finansowo-gospodarczych jest to pewnie bardzo praktyczne, o wiele mniej celowe okazuje się dla dziennikarstwa, pojmowanego jako coś odrębnego. Prasa uzależniona, powtarzająca ciągle za panią matką pacierz, drepcząca wąską ścieżką jakiegoś ściśle wytkniętego „programu", służąca do posunięć bojowych i taktycznych, taka prasa lekceważy i krzywdzi jedną kategorję ludzi: swych czytelników. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Czytającym wtłacza się codzień na nos te same okulary, już to czarne, już to różowe, przez które każe im się patrzeć na wszelakie zjawiska, ukrywając starannie ich kolor właściwy. Prasa, pozbawiona niezależności, nie może, nie ma prawa nigdy prawie wyznawać *całej* prawdy, uchyla ona jej rąbek zaledwie i to taki, na jaki jej pozwolą. Zajmuje też umysły swoich abonentów sporami głównie denerwującemi i męczącemi niesłychanie. Argumenty tych sporów równie jak forma ich wiele pozostawiają do życzenia. Sążniste artykuły są zbyt często histeryczne, pieniacze lub poprostu jałowe. Treść ich nie niesie nic nowego, ani też nic pozytywnego. Pisma, dbające o to, by spełnić wobec swojego czytelnika sumiennie zrozumiały obowiązek dostarczania mu nietylko wiadomości, lecz i duchowej całkiem czystej strawy, by zachować w tem lojalny objektywizm, pozwalając mu orjentować się i czynić wnioski samemu, pisma, poczuwające się w pierwszej linji do szerzenia wszechstronnego kultury i świadomości społeczeństwa bez narzucania mu gotowych i banalnych formułek — takie pisma należą za naszych czasów w Polsce niestety do rzadkości.

I masy czytające poznały się na tem. Mają one oddawna dość prasy, spełniającej głównie rolę propagandową i nic więcej. Chcą pism *dla siebie*, nie dla wojujących obozów. Chcą pism — przyjaciół rozumnych, spokojnych i poważnych, mówiących im rzeczy ciekawe i kształcące, nie zaś wlokących ich gdzieś ciągle na jakimś „programowym" pasku. Chcą — powiedzmy poprostu — prasy, któraby odzyskała swoje własne oblicze i stała się znów czemś *sama przez się*. I chcą dobrze... Taka tylko bowiem prasa wyzwolić może mózgi z stronniczych suggestji, przysporzyć im jasnego grzejącego światła i zbliżyć choć trochę do poznania Rzeczywistości w każdym względzie.

Gdy więc pisma partyjne są poniekąd w dalszym ciągu życia politycznego złem koniecznem — niechże podejmą pracę swą zgoła inną i pisma niezależne, niechaj odżyje prasa jako czynnik samodzielny. Miljony czytających czekają na to z upragnieniem, a myślę, że i wiele setek piszących.



Wojciech Baranowski

PRAWDZIWA LWOWIANKA



Rys. H. Kędzierska

Ponieważ należy przypuścić, że każdy z nas był kiedyś dzieckiem, chyba, że naśladując wzniosłego chińskiego mędrca Lao-Tse, liczył już w chwili narodzin osiemdziesiąt dwa lata, — pewnym niemal być można, że każdy z nas zna uroczą bajkę najmilszego p. Andersena p. t. „Prawdziwa księkniczka“. Pod siedem piernatów, na których miała usnąć, włożono ziarenko grochu, a ona, że tak niezmiernie była delikatna, odczuła jego ucisk. Opowiadanie to jest śliczne, bardzo śmiesznie zmyślone przez wielkiego poetę bajki, który w kraju, pachnącym sztokfiszem, tranem i śledziami, marzył o takich księżniczkach. Historja ta przypomniała mi inną, która jednakże tę ma wadę, że się prawdziwie zdarzyła. Prawdziwe opowieści są zawsze brzydkie, choćby tylko dlatego, że się stały, że na nie ludzkiemi patrzono oczyma i że o nich rozprawiano. Najpiękniejsze jest zawsze to, co się nigdy nie stało i o czem zawsze marzymy. Historja, którą tu opowiem, z pozoru tylko wygląda na bajkę, ale nią nie jest. Można to stwierdzić każdej chwili w archiwum miasta Lwowa, gdzie niedawno znalazłem stary rękopis, będący zbiorem przedziwnych opowieści z życia tego wspaniałego miasta w minionych wiekach. Nieznany kronikarz nie sprawia wrażenia łgarza, cytuje bowiem imiona i daty, w przerwach zaś między jedną a drugą opowieścią wylicza z nieznanych bliżej powodów ilość wypitego przez siebie wina w gospodzie przy ulicy Ruskiej. Już to samo świadczy o wzniosłości duszy tego człowieka i o jasności jego myślenia. Rękopis oznaczony jest liczbą 43723b i ma na sobie purpurowe ślady krwi. Niektórzy jednak badacze, którzy szacowny ten szpargał mieli w rękach, twierdzą jadowicie, że podobne plamy pozostawia i tęgie, czerwone wino mołdawskie (?!).

Nie będziemy tu powtarzali ciekawej tej opowieści w całej jej osnowie. Zaciekawiła mnie ona z tego właśnie powodu, że choć prawdziwie zdarzona, tak bardzo jest podobna do bajki o prawdziwej księżniczce. Andersen nie znał z całą pewnością tej lwowskiej historji, zdumieć się przeto trzeba, jak często zdarza się w rzeczywistości coś, co na bajkę zakrawa.

Działo się to, kiedy Islamowi panował padyszach Arun ar Moshed, mąż światły i sądząc z okazałości brody, starzec potężny. Siedząc na siedemdziesięciu siedmiu poduszkach, z niezmiernym swoim zmagał się rozumem, a czoło miał zasnute czarną chmurą zwątpienia. Ponad nią, jak słońce, migotał wielki djament w turbanie, lecz wśród jego tęcz tem czarniejszą wydawała się troska pana żywotów ludzkich, końskich i wielbłądzich. Wiele ten mąż widział, wiele przeżył i wiele przemyślał; znał kruchość wszelkich rzeczy i marność ich; po stokroć tedy rozważył, zanim uczynił cokolwiek, a zanim wypowiedział słowo, przypatrywał mu się chytrze, rozgryzał, smakował je i długo nad niem cmokał, jak człowiek z pospólstwa, co kupując pestki z dyni na wielkim moście, długo jedno smakuje, zanim resztę kupi. Tak samo czynił, ilekroć miał kupić odaliskę. Wtedy, jak przemyślny handlarz koni natolskiego bada rumaka, tak on badał prześliczną dziewicę, licząc jej zęby, mierząc grubość nogi. Widać jednak, że można by żyć lat sto i siedem razy po sto i jeszcze dziesięć ponad to, a można być zawsze oszukanym. Pewnem jest, że i sam Prorok, z bystrych najbystrzejszy, i najmędrszy z mądrych, nie dostrzegłby błędu w odalisce, gdyby go ukryć postanowiła.

O tem właśnie rozmyślał srebrnobrody pan Wschodu i Zachodu, a zwątpienie drżało nad nim, jak czarne strusie pióra, przeznaczone do spędzania much z dostojnego czoła. Nie była to już jego własna sprawa, naturalnym bowiem porządkiem rzeczy moce męskie dawno już od niego odeszły, na pociechę jedynie wielki pozostawiwszy mu rozum i brodę wspaniałą, lecz mało do uciech miłosnych przydatną. Padyszach jednakże miał syna, draba mocnego w sobie i tak na gębie urodziwego, że co czulsze dziewice z dalekiej egipskiej ziemi, albo też syryjskie, do róż ledwie rozkwitłych podobne, na sam jego widok zachodziły w stan błogosławiony ku niezmiernemu podziwowi rzezańców. Smukły był, jak palma, gorący, jak samum, burzliwy, jak chmura, czarny, jak szejtan, zbudowany, jak ów Antar, o którym śpiewają pieśni, piękny, jak miłosna Kassyda, a roztropny, jak najlepszy w państwie gracz w szachy. Rozbieganego konia chwytał w pędzie i osadzał na miejscu, a z lwem potykał się pierś w pierś, jeśli się zdarzyło, że lew na sam jego widok nie pierzchał w trwodze. Wtedy bowiem, jak to bystrze zauważyć można, nie miał się z kim potykać. I on, jak jego dostojny ojciec (oby żył wiecznie!) — miał sto odalisek, wybranych z mnogich krociów. Cóż jednak z tego? Jak kiedy pełnej krwi ogier wpadnie w szaleństwie do sułtańskich ogrodów i kopytami najrzadsze zabija kwiaty; jak kiedy samum, na gorących cwałujący wichrach, na wiotkie napadnie palmy i płaczące daktylowego pozbawia żywota, — takie on siał zniszczenie wśród onych kwiatów z najdalszych krańców ziemi przywiezionych. Były to dziewice wiotkie, jak tchnienie zefiru, misterne, jak miłosna piosenka, blade, jak poranek, albo tak tylko jak płatek róży spłonione; płakały rzewnie i cichutko, jak fontanny o świcie ze sobą gadające, a łzy ich były pachnące, jak różany olejek albo nard, albo rosa poranna. Dziewice te kruche były, jak tęczowe szkło, pierzchliwe, jak letnie obłoki, smętne, jak spojrzenie wielbłąda, lekkie, jak sny różowe kochanka, kiedy kochanek nie spożył na wieczerzę ani pilawu, pływającego w tłustości, ani baraniny, mocno czosnkiem pachnącej, lecz dwa pocałunki i trzy westchnienia.

— Jakiż potomek, jakiż to dziedzic narodzi się z miłości potężnego rumaka i wiotkiej lilji? — myślał padyszach (oby żył wiecznie i jeszcze tysiąc lat dłużej).

I zaprawdę, sprawiedliwie to rozważał w niezmiernym swoim rozumie. Dlatego to on rozmyślał, a syn jego zgrzytał zębami, stęskniony do miłości potężnej, do czarnej podobnej burzy, co ogniami na całe rozbłyskuje się niebo.

Wtedy to, widząc nieukojone strapienie swojego władcy, padł przed nim na brzuch dozorca rzezańców i wydał z siebie głos dziwny, a tak cienki, jak nić jedwabna, co jest nikczemną zapłatą przyrody za niejaki uszczerbek człowiekowi temu uczyniony.

— Władco świata, — zaśpiewał ów dostojnik, — wiem, co cię trapi. Dla syna swojego pragniesz żonę, która by była, jak skała; potężnej, a pięknej, bujnej, jak oaza, silnej, jak lwica, zgrabnej, jak antylopa. Wiem, gdzie można znaleść takie dziwo!

— Mów, jeśli ci życie miłe! — zakrzyknął padyszach.

— Jest kraj potężny, który zwą Lechistanem, a w tym kraju jest miasto, które giaury zowią Lwowem. Tam znajdziesz tę, o której marzy twoje serce.

— Jeśli to prawda, — zawołał padyszach, — jeśli znajdą tam tę, której szukam ode Wschodu do Zachodu, po całej ziemi, otrzymasz wszystko, czego zapragniesz.

Zasmęcił się dostojnik i cienko zaśpiewał:

— Tego, czego ja pragnę, tego nawet ty mi nie możesz dać, najjaśniejszy panie...

— O, nieszczęsny! — rzekł smutno padyszach. — Tak, tak, to byłoby trudno...

A zaraz potem potężną nakazał wojnę i pół świata ruszył, aby zdobyć dziewicę z Lechistanu, z grodu, który wziął imię ode lwa. Straszliwa to była wojna i wszystkim pamiętna. Dziwili się potem dziejopisowie, skąd ta nawała i skąd ta zaciętość niezmierna przeciwko miastu jednemu, lecz nikt nie przypuszczał, że o dziewicę jedną wielkie się z sobą zmagały potencje. Mordowano mężów, wszystkie zaś białogłowy brano w jasyr, tak, że dnia jednego na dziedzińcu marmurowym pałacu w Bagdadzie zebrano tysiąc dziewic, a może i więcej. Kwiaty to najcudowniejsze zakwitły na marmurach, a słońce dłużej dnia tego świeciło, promienistego oka nie mogąc oderwać od tego żywego ogrodu.

Patrzył padyszach i cmokał w niezmiernym podziwie; gładził srebrzystą brodę i oczy wywracał, zdumiony, bo chociaż żył długo, nie widział jeszcze takich ponęt przedziwnych, godnych raju. Kazał się stawić nadzorcy rzezańców i rzekł:

— Wszystkie one pochodzą z Lechistanu i wszystkie są najpiękniejsze. Jakże poznam, która jest ze Lwowa, aby ją uczynić światłością moich oczów i małżonką tego, który będzie władał światem?

— Wybadajmy je, panie! — zapiszczał dostojnik. — Miasta tego zdobyć nie mogliśmy, więc niewiele ich stamtąd będzie.

Okazało się, że jedna z tysiąca porwana została u bram Lwowa.

— Znam sposób, — zaśpiewał rzezaniec, — aby się przekonać, czy dziewica ta prawdę powiada i nie ma podwójnego języka.

Naradzali się potem tajemnie przez siedem dni i siedem nocy, wreszcie uczynili rzecz straszliwą: na gołą posadzkę marmurową nasypano mnóstwo kolców cierniowych, ostre kamyki, tysiąc ziarnek grochu, szkła tłuczonego i drobnych przedmiotów, twardych straszliwie i straszliwie ostrych; na tem wszystkiem położono prześcieradło z najcieńszej gazy, wyrabianej w mieście Mossul, stąd muślinem nazwanej. Przywiedli potem tę, która się powiadała Lwowianką, piękną, jak łania, z nogą gazeli, z oczyma jak gwiazdy, z włosami, jak jedwab, z piersiami, jak dwa rajskie owoce, z ustami, jak żywa rana w purpurze krwi, a jednak wspaniałą, a jednak potężną. Cmoknął oszołomiony padyszach, smętnie głową pokiwał rzezaniec i rzekli jej:

— Tu będziesz spała tej nocy!

— Ta czemu by nie? — zaśmiała się ona.

Cmoknął po raz drugi padyszach i zapytał:

— Czy to ona mówi, czy to słowik śpiewa?

Machnął ręką nadzorca rzezańców, na znak, że mu to wszystko jedno.

Ona legła na wiotkim muślinie, jak na posłaniu z puchu i rzekła przymilnie:

— Ta idźcie już do ciężkiej cholery, pogany, bo mi się spać chce!

Im się oczy rozszerzyły z nadmiernego podziwu, że oto dziewica ta, piękniejsza ponad wszystkie hurysy, leży na cierniach i na kamieniach ostrych, jak noże i na grochu i na szkle tłuczonem i nietylko, że ciałem, jędrnem jako rzepa i twardem, jak skała, niczego nie czuje, lecz oto zasnęła niewinnie, jako dzieciątko.



— Allah! Bismillah! — zdumiał się kalif.

— One wszystkie takie, — zaśpiewał rzezaniec.

— Zobaczymy rano! — zwątpił kalif.

— Nic nie zobaczymy... — mruknął rzezaniec.

Padyszach nie zmrużył oczów tej nocy i pewnie dlatego tak jasno było w całej stolicy, jakgdyby słońce nie zaszło. Zaledwie zaś świt na perłowej przypłynął chmurze, a palmy stały się srebrne i djamentowe, jak trzęsienie na turbanie Proroka, pobiegli czemprędzej z wielkim orszakiem, aby ujrzeć lwowską dziewicę, krwią spływającą od licznych ran. Zbudził ją tupot wielu biegnących, więc się podniosła powoli z posłania, jak młoda lwica, co się rozkosznie przeciąga. Sto gęb dostojnych w niezmiernym otwarło się podziwie: na jej skórze, podobnej do różowego obłoku, w którym kocha się słońce, nie było ani rany, ani sińca, ani żadnego znaku. Ciało, jak alabaster, rubinem krwi prześwietlony, drżało, młode i gibkie.

Nikt nie mógł wydać z siebie głosu, jakgdyby patrzył na rzecz nadprzyrodzoną, jeden tylko nadzorca rzezańców zaśpiewał opryskliwie:

— Nikt inny na świecie takiej nie dokaże sztuki! Ciernie są starte na proch, a groch na miazgę. To jest prawdziwa Lwowianka!

Okrzyk wielkiego szczęścia raczył z siebie wydać dostojny Padyszach, a inni niezmierny uczynili rejwach.

— Potężna jest i piękna! Och! och! Obłok i skała zarazem! — wołał Padyszach. — O, synu mój! Oto będzie małżonka dla ciebie, jakiej niema drugiej na ziemi.

Syn padyszachowy, czarny na gębie, jak szejtan, w oczach rozpalił dwa pożary, zgrzytnął zębami i pełen szczęścia, jak pełen wina jest wór z oślej skóry, zbliżył się ku niej tygrysim chodem i ręką sięgnął jej piersi. Wtedy ona, rozmachnąwszy się, dała mu w pysk tak potężnie, że się nogami nakrył.

— Och! och! — zdumieli się wszyscy.

— Och! och! — zakrzyknął Padyszach, obłąkany od nadmiaru szczęścia.

— Wiedziałem, że tak będzie, — zapiszczał eunuch. — Potrafi spać na tłuczonem szkle i bije. Czy teraz wierzysz, że to lwowska dziewica, Najjaśniejszy Panie?

Kornel Makuszyński



SEN WE ŚNIE

Rys. Apolonjusz Kędzierski

Czasem to się człowiekowi przyśni „coś takiego“, że tylko ręce rozłożyć i rzec: to ci dopiero!

Bo rozumiem sen choćby i najgłupszy, — może się przyśnić i najmądrzejszemu.

Ale żeby się śnił sen we śnie, to już jest, jak to się mówi: rzeczywiście!

A było to mniej więcej tak...

Śni mi się tu któregoś dnia, że żyję sobie przed ćwierćwiekiem. Oczywiście, nie jest to znów taka szalona senna fantazja, bo ja istotnie i na jawie żyłem sobie przed ćwierćwiekiem, tyle tylko, że byłem młodszy o dobrą trzydziestkę. Chadzałem sobie wtedy jako stały gość do Udziałowej, gdzie wysiadywałem długie godziny i kanapy, zażywając biesiad duchowych. Zbierała bo się tam wonczas najwybitniejsza (ile że nieraz się biła) i najgłośniejsza (ze względu na organy mowy) elita artystyczna, wśród której nie brakło zresztą i znakomitych nazwisk, znajdujących się obecnie w większości na innym punkcie zbornym — na Powązkach.

Śni mi się tedy, że wchodzę sobie, jak zwykle wieczorkiem, do Udziałowej... Jest to rok 1905-ty. Na ulicach trochę strzelają. Znów gdzieś tam rzucono bombę na żandarma. Po lokalach krążą patrole, rewidują i aresztują. Jednem słowem — wszystko normalnie. W Udziałowej też wszystko normalnie. Siedzi sobie nieboszczyk przy nieboszczyku i rozmawiają. Żeromski, Lange, Reymont, Żmurko, Jabłczyński, Srokowski, Zarzycki, Czesław Jankowski, Kuczborski... Oczywiście śni mi się, że wszyscy oni żyją. Nie brakowało zresztą i obecnie żyjących.

Przechodzę przez kawiarnię, idąc na swoje rytualne miejsce. Po drodze wpadają mi w ucho codzienne normalne rozmówki:

— Jego poezja ma wiele zalet, a tylko jedną wadę: nie jest poezją.

— Dobrze was aby powiesili? (mowa o obrazie na wystawie)

— Najsilniejsze narkotyki, to — kofeina, nikotyna i dziewczyna.

— Jak na tak mądrego człowieka, jesteście stanowczo za dużym idjotą.

— Ona mi się podoba fizycznie i niemoralnie.

Siadam przy swoim stoliku. Siedzi już przy nim grono osób, które aczkolwiek znam, ale nie wiem, co to za jedni. Bywa tak zresztą i na jawie.

Przez chwilę pijemy czarną, milcząc, aż nagle jeden z nieznajomych mi znajomych powiada:

Wyobraźcie sobie, co za dziwaczny sen miałem. Śniło mi się, żem się obudził rano u siebie i...

— Tak. To bardzo dziwaczny sen, bo ci się mogło śnić z tą samą dozą prawdopodobieństwa, żeś się obudził w cyrkule albo w X-tym pawilonie.

— Ba! Kiedy właśnie, gdym się we śnie obudził, nie było już X-tego pawilonu...

— Ileś ty wczoraj do poduszeczki wypił?

— Ilem wypił, to rzecz moja i kelnera, dość że X-tego pawilonu nie było, bo to był rok 1930-ty i była Polska!

Zapanowało nagle milczenie, poczem równie nagle sypnął się grad pytań:

— Za co ty się tak schlałeś?

— 1930-ty rok i odrazu — Polska?!

— Jakto Polska? Autonomiczna Kongresówka?

— Nie! Z Galicją i Poznańskiem.

— Mój złoty! Powiedz, że jeszcze z dostępem do morza! Co ci to szkodzi?!

— Jakbyś przy tem był, że z dostępem do morza.

— Warjat! Daj rękę... Rzeczywiście: puls 1930 na minutę!

— To niby we śnie nie można się zdobyć na Polskę z trzech zaborów?... Wal dalej! Przyjemnie chociaż posłuchać...

— Nie masz narazie nic innego do roboty, więc opowiadaj, Szeherezado!

— A co się stało w tej twojej Polsce z 1930-tego roku z moskalami i z niemcami?

— Moskale wycofali się sami, a niemców przepędziliśmy...

— Czem? Kijem?!

— Nie wiem... Tak mi się śniło...

— Ale ci się też bzdura ubrdała!

— W każdym razie niech mu się śni ciszej, bo a nuż jaki szpicel...

— Daj mu spokój, niech opowiada dalej. Dopiero gdy skończy, odeślemy go do psychjatry. Więc gadaj i nie bój się aż do końca.

— Moi drodzy! Co to można wiedzieć?... A nuż mu się proroczo wyśniło... Jako teozof...

— ...Odrazu robisz wrażenie, że ci brak piątej klepki. Za 25 lat — wolna Polska?! Wmyśl się tylko, jakiż to absurd!!

— Więc—co?? Już nigdy—nic?!

— A czy ja mówię, że nigdy? I owszem, nie jest wykluczone, że z czasem może być i wolna Polska. Ale — stopniowo, etapami, ewolucyjnie, w miarę rozwoju liberalizmu i parlamentaryzmu w Rosji i w Niemczech. Najwpierw musi być samorząd. W następnem pokoleniu — autonomja. Znów w następnem unja personalna. A za 100 — 150 lat przy szeregu szczęśliwych kombinacji może i będzie wolna Polska...

— A jakże tam było w twoim śnie?

— W moim śnie był 1930-ty rok i Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska.

— Z obieralnym królem?

— Z Prezydentem, z Sejmem i Senatem.

— Jezus Marja! Polski Prezydent! Polski Sejm!! Panowie, proszę o dwie minuty milczenia... Polski Sejm!... Boże!...

— I polskie wojsko.

— I polska policja?

— I policja.

— To polski policjant polskiego złodzieja prowadził do polskiego cyrkułu?... Hihihi!

— A ty uważasz se kpinków teraz nie rób, jeżeli ci rodzone zęby miłe!

— A jak się czuli ludzie w Najjaśniejszej? Szaleli chyba z radości?!

— Wyobraźcie sobie, że niebardzo... Narazie coprawda „szaleli“, jak powiadasz, ale jakoś wrychle im to przeszło. Wleźli z uszami w codzienność i pospolitość, a poniektórzy to się i nieraz uskarżali na przy-

krości związane z posiadaniem własnego państwa... Trzeba jednak przyznać, że i czasy były gospodarczo cięższe, niż dziś.

— Ale Polska! Polska!

— Powtarzam wam: przyzwyczaili się do niej bardzo szybko i przestali przywiązywać specjalną do tego wagę. A wielu wzdychało pocichu do dzisiejszego dobrobytu.

— Wściekli się? Jaki dobrobyt? Gdzie?

— W perspektywie czasu, we wspomnieniu wszystko wydawało im się lepszem i piękniejszem.

— Nawet kozacki bat?

— Nawet. W pamięci ich rosyjscy żandarmi pozostali jako dżentelmeni...

— Taak... Tylko we śnie może się zrodzić podobny koszmar...

— A jakie były pieniądze?

— Złote.

— Co? Czasy — gorsze, a pieniądze — złote?

— Srebrne i niklowe, ale — złote. Złote polskie były srebrne, rozumiesz?

— Niebardzo, ale łżyj dalej.

— A jakże wyglądała Warszawa jako stolica? Szalenie pewnie była zmieniona?

— Niewiele. Parę ulic wyasfaltowano, parę cerkwi zburzono, parę gmachów państwowych w śródmieściu zaprojektowano. Zato na peryferjach nabudowano masę małych domków, ale nie zdążyłem zbadać, do jakiego miały one służyć użytku.

— A kobiety? Widziałeś jakie znajome?

— Owszem, — i wyobraźcie sobie, żadna z nich się nie postarzała, a niektóre nawet odmłodniały, czemu pomogła moda krótkich włosów i jeszcze krótszych sukienek.

— No to mężczyźni mieli co oglądać?

— Mieli, ale... przyzwyczaili się. Tak jak do Polski.

Tu już nie mogłem wytrzymać!

— Głupstwa pan plecie (i w tejże chwili nagle przypomniałem sobie nazwisko faceta), niejaki panie Malinowski! Jakto? Spełnia się to, na co przez sto kilkadziesiąt lat niewoli czekały szeregi pokoleń, męczenników, więźniów, wygnańców, wieszczów!... Staje się cud, powstaje jak feniks Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska i ludzie momentalnie „przyzwyczajają się" do niej, jak do kobiecych nóg?!... A nawet już im się to i owo w niej nie podoba?!

— Żeby tylko... Nie brak było i żerujących na niej... Nie brak było kanalji, która...

Tu już wpadłem w pasję!

— Kłamie pan, niejaki panie Malinowski! Rzuca pan nikczemne oszczerstwa na swoje i na przyszłe pokolenie!! Ja protestuję!!

I nagle rozwidnia mi się w głowie, że przecie ten pan Malinowski żył w 1905-tym roku, ale teraz naprawdę mamy 1930-ty rok, więc ten gość umarł już od piętnastu lat.

— Mało tego, że pan łże, panie Malinowski! krzyczę, — ale pan przecie dawno umarł! Więc czego pan udaje? Czy pan nie widzi, że pana tu wogóle niema?!

I palnąwszy pięścią, zrzuciłem z nocnego stolika syfon i ... obudziłem się.

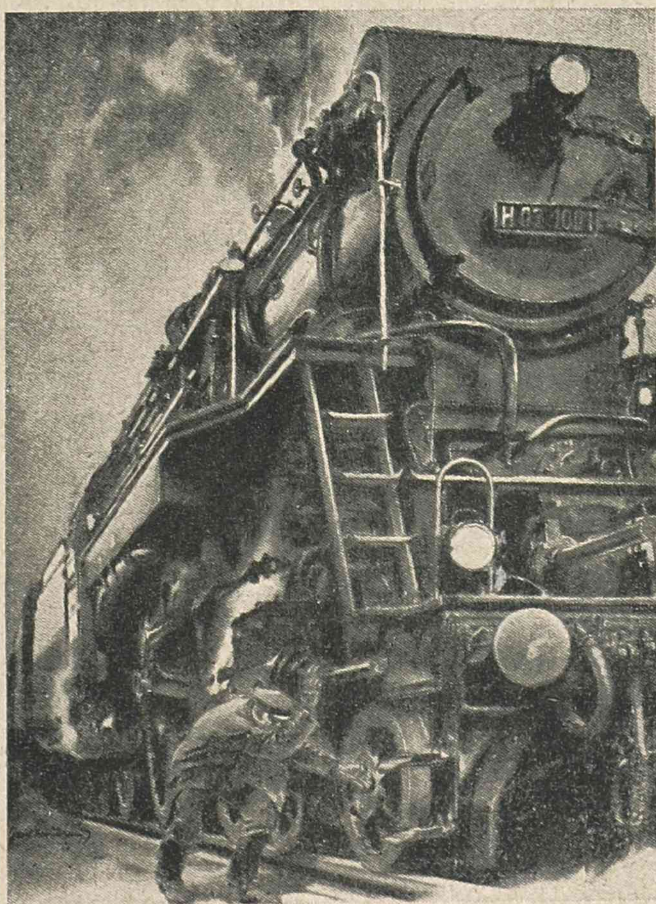
. . . .

Był rok 1930-ty... Była Polska... I było — jak wyżej...

Kazimierz Wroczyński

ĆWIERĆ WIEKU TECHNIKI

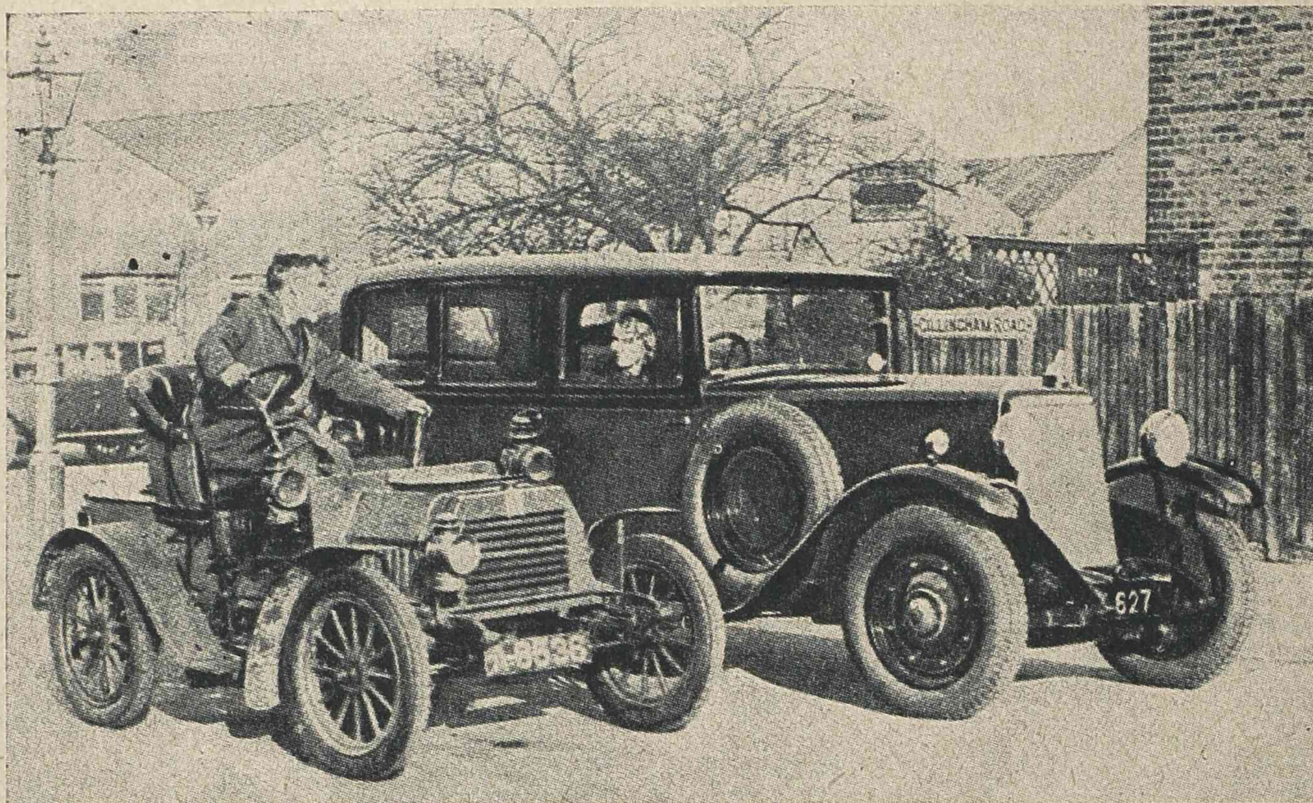
Gdyby człowiek jakiś zasnął był na przeciąg lat dwudziestu pięciu lub czas ten spędził na jakiejś wyspie, zdala od wszelkich przejawów postępu, i gdyby nagle dzisiaj przebudził się po tej ćwierćwiekowej śpiączce lub też równie niespodzianie znalazł się w środowisku współczesnej kultury, byłby zapewne niepomiernie zdumiony. Albowiem te lat dwadzieścia pięć odmieniły coś nie coś fizjognomię świata i życia na tym świecie. Nie roztrząsajmy problemu, czy odmieniły ją na lepsze czy na gorsze, bo tego orzecha nie rozgryźli by może tak łatwo nawet wielcy filozofowie i myśliciele. Straszliwe, wstrząsające grozą, dzięki zdobyczom nowoczesnej techniki, szczegóły wielkiej wojny, coraz jaskrawsze kontrasty bogactwa i nędzy, bezrobocie rosnące niejako w skali doskonalenia się maszyny, powolny, lecz stały zanik duchowych podniet w szarzyźnie nerwowego, wciąż przyspieszanego życia—to parę fragmentów obrazu współczesności, nad któremi myśliciel musiałby się długo i poważnie zastanowić, zanim by wydał kategoryczny sąd — czy olbrzymie postępy techniki w swej ogólnej sumie przyniosły ludzkości korzyść czy szkodę.



LOKOMOTYWA OLBRZYM

Natomiast same postępy techniczne bezwarunkowo nie podlegają wątpliwości. Przeszliśmy w czas krótki olbrzymią drogę, która nam, patrzącym na wszystkie kolejne, nawet drobne etapy, mniej może imponuje, lecz która musiałaby zdumieć człowieka, przebudzonego z ćwierć wiekowego snu. Przeszliśmy tę drogę przeważnie małemi kroczkami; niewiele tylko znajdzie się w tym okresie epokowych dzieł czy wynalazków, któreby zapewniły swym twórcom nieśmiertelną sławę, i bezpośrednio skierowały rozwój ludzkości na nowe tory. Ale to już los współczesnych wynalazców i twórców. Możnaby powiedzieć bez przesady, że dzisiejsze wynalazki i dzieła są dokonywane zbiorowo; pomysł, rzucony przez pierwszego twórcę, zostaje niezwłocznie rozpracowany, udoskonalony przez wielotysięczną armję techników i uczonych, staje się powszechną własnością, zanim jeszcze niemal zdołał się ukształtować w ostatecznej formie.

Ktoby przejrzał uważnie roczniki „Świata", poświęcającego zawsze sporo miejsca technice i wynalazkom, znajdzie na jego łamach potwierdzenie słów powyższych. Oto ten czy ów artykulik zdaje sprawę z nowej ciekawej idei technicznej. W parę lat później ten sam temat powraca znowu na łamy pisma, ale teraz już, niemal zawsze, z nazwiskiem twórcy łączą się nowe nazwiska realizatorów pomysłu, które z biegiem czasu przyćmiewają nawet niekiedy pamięć wynalazcy. W spółczesnym nam



MODEL Z PRZED 25-LATY SAMOCHÓD WSPÓŁCZESNY

świecie zdobywa bowiem sławę przeważnie ten tylko, kto z pomysłu, choćby cudzego, zdołał wyciągnąć praktyczne, realne korzyści.

Inaczej wprost być nie może, wobec nieprzeliczonej liczby wynalazków i dzieł technicznych, jakie dało nam ubiegłe dwudziestopięciolecie, wobec tego przedewszystkiem, że walory tego czy owego pomysłu nie zawsze ujawniają się bezpośrednio, a częściej dopiero po szeregu lat. Na temat niezwykłych pomysłów snujemy nieraz fantazje; realnie cenimy tylko to, co ma dla nas istotnie realną wartość. Imiona pierwszych i dalszych etapowych twórców znają tylko fachowcy, szeroki ogół widzi przeważnie tylko anonimowe dzieło, które mu mniej czy więcej imponuje i z którego ciągnie praktyczne korzyści.

Wyniki pracy nowoczesnego technika i wynalazcy są tak olbrzymie, że wyliczenie i przypomnienie chociażby tylko tego, o czem informował „Świat" swych czytelników w ciągu minionego dwudziestopięciolecia, zapełniłoby z pewnością spory tom. Przypomnienie tych tematów byłoby jednak może o tyle bezcelowe, że szereg pomysłów, referowanych niegdyś na łamach pisma, nie został dotąd praktycznie zrealizowany, podczas gdy inne pomysły zostały tak rozbudowane, że w obrazie udoskonaleń gubi się niemal pierwotna idea. Zamiast więc wyliczać kolejno rozmaite zdobycze ducha i wynalazczości, wolę ograniczyć się do kilku fragmentów z dziedziny nowoczesnej techniki, które wprost jaskrawo charakteryzują to, co istniało przed ćwierć wiekiem i co istnieje dzisiaj, ujawniając dzięki temu naocznie niesłychany, dokonany w międzyczasie postęp.

W dziedzinie komunikacji rozporządzaliśmy przed ćwierćwiekiem, prócz tradycyjnych *„pedes apostolorum"* i prastarego wozu konnego, koleją żelazną z parową lokomotywą, kolejką elektryczną, samochodem, statkiem parowym i motorowym, nawodnym i podwodnym, zaczątkami żeglugi powietrznej. W ciągu minionych lat dwudziestu pięciu te środki komunikacyjne rozwinęły się i wydoskonaliły do niebywałej granicy. Jakaż różnica zachodzi między ówczesną lokomotywą a dzisiejszym olbrzymem amerykańskim czy europejskim najnowszego typu, przebywającym z niesłychaną szybkością i precyzją setki i tysiące kilometrów? Elektryfikacja kolei zatacza coraz szersze kręgi, obejmuje coraz nowe linje kolejowe. Tramwaj konny, tak typowy dla obrazu miasta przed ćwierćwieczem, ustąpił całkowicie miejsca tramwajowi elektrycznemu. Techniczne udoskonalenia zwiększyły szybkość statków i dzięki temu zbliżyły ku sobie odległe części świata. Wreszcie samochód stał się wprost przedmiotem codziennego użytku, dostępnym zarówno dla bogaczy jak i dla mniej zamożnych, środkiem komunikacyjnym, bez którego nie potrafilibyśmy już wyobrazić sobie współczesnego życia. Wypiera dorożkę konną z ulic miast, stwarza dogodne połączenia międzymiastowe, rywalizuje coraz skuteczniej z koleją.

Ale na czoło komunikacji coraz bardziej wysuwa się samolot. Rozwój lotnictwa przypada całkowicie na te 25 lat. Santos Dumont, Delagrange, Bleriot, Farman, bracia Wright — oto nazwiska głównych pionierów, którzy zdobywali powietrze przy pomocy aparatów cięższych od powietrza. Starsze pokolenie czytelników „Świata" pamieta jeszcze zapewne pierwsze wzloty w Warszawie, loty na krótkie zresztą dystanse, często nieudane. Doskonalenie aparatów trwało bez przerwy, rekordy szybkości, odległości, wysokości były pobijane niemal z dnia na dzień przez nowych współzawodników, potem wojna stworzyła potężną podnietę do rozwoju lotnictwa, a zaraz po ukończeniu wojny powstały pierwsze pasażerskie linje lotnicze. Setki ludzi korzysta już dzisiaj z tego środka lokomocji; śmiałych lotników nie straszą ani niebosiężne szczyty gór ani bezkresne wody mórz. A przecież jeszcze dwadzieścia lat temu nikt z lotników nie ważył się puścić w podróż nad kanałem La Manche. — Mniej szczęśliwy był rozwój sterowca, który wciąż prześladuje jakieś fatum, powodując coraz nowe katastrofy. Ale zarówno zeppeliny, jak nowowybudowane sterowce angielskie i amerykańskie wykazują liczne, niezwykle pomysłowe udoskonalenia, zmieniają się w wielkie luksusowe statki powietrzne i obiecują swym pasażerom wszystkie wygody i przyjemności podróży.

Przejdźmy z kolei w inną dziedzinę. Przed ćwierć wiekiem udoskonalony przez Edisona fonograf posiadał właściwie bardzo niewielką wartość użytkową, był raczej ciekawym okazem. Dzisiaj gramofony i patefony znajdujemy w każdem prawie mieszkaniu; przykre, rażące szmery zmniejszyły się do minimum, tak że nawet wybredny znawca muzyki słucha z zadowoleniem dźwięku tych reproduktorów, zapisujących dla współczesnych i dla potomności śpiew i muzykę najwybitniejszych artystów, dostarczających najszerszemu ogółowi popularnej piosenki, modnego tańca, obok klasycznych, wiecznotrwałych dzieł muzycznych. Ustawiczne ulepszenia dążą do zapewnienia coraz czystszej reprodukcji, jak również przedłużenia czasu jej trwania, dzięki czemu można już wykonywać bez przerw nawet długie utwory, akty oper czy poszczególne części symfonji.

Z niezwykle skromnych zaczątków, istniejących przed ćwierć wiekiem, rozwinął się też wspaniale kinematograf, zarówno w technice dokonywania zdjęć, jak i reprodukowania ich na ekranie. Powstał nowy przemysł, operujący olbrzymiemi kapitałami, powstała nowa sztuka,

niema, docierająca do najszerszych kół widzów w tysiącach teatrów i teatrzyków kinematograficznych. A jednocześnie także wiedza wykorzystała zdobycze kina do swych celów, zdobywając w obrazach filmowych nieporównany w rezultatach nowy środek pedagogiczny. — Połączenie filmu obrazowego z filmem fonograficznym, który po raz pierwszy — zresztą w bardzo niedoskonałej formie — zastosował mniej więcej przed 20 laty Newman, zrodziło film dźwiękowy, przechodzący właśnie obecnie zwycięsko przez ekrany całego świata.

Dziedziną, w której technika dokonała wprost cudów w ciągu minionego ćwierćwiecza, jest radjotelegrafia, a zwłaszcza radjotelefonja. Telegraf iskrowy zawdzięcza swe udoskonalenie w niemałej mierze wielkiej wojnie europejskiej, w ciągu której oddał stronom walczącym olbrzymie usługi. Ze zdobyczy tych skorzystała ludzkość po wojnie, a dzisiaj już telegraf iskrowy pełni służbę na równi z telegrafem kablowym. Natomiast telefonja iskrowa była przed 25 laty tylko teoretycznym pomysłem, oczekującym dopiero na realizację. W grudniu 1906 r. udało się towarzystwu „Telefunken" przeprowadzić pierwsze rozmowy bez drutu na odległość 40 klm., w parę lat później de Forest rozpoczął próby połączenia telefonem bez drutu Ameryki z wieżą Eiffla w Paryżu. Jaka była opinja fachowców o tych usiłowaniach świadczyć mogą następujące słowa jednego z niemieckich uczonych: „Wiadomości, jakoby nowa stacja radjotelefonu de Foresta mogła już niedługo podawać słuchaczom w Nowym Jorku przedstawienia wielkiej opery w Paryżu, można spokojnie zaliczyć do rzędu *bajek*".

Ale nie wszyscy byli takimi pesymistami. Niemal równocześnie inny uczony, prof. Aryton snuł taką fantazję: „Nadejdzie dzień — może nasza pamięć wtedy już zaginie — kiedy wszystkie miedziane druty i gutaperkowe izolatory znajdą się w muzeach, a człowiek, pragnący rozmówić się z przyjacielem i nie wiedzący, gdzie go szukać, posłuży się elektrycznym głosem, dosłyszalnym temu, kto posiada nastrojone na ten sam ton elektryczne ucho. — Gdzie jesteś? — zawoła. I oto ucho elektryczne da mu odpowiedź: Jestem w głębi kopalni, na szczytach And, na szerokim oceanie. A jeżeli odpowiedź nie nadejdzie, będzie to oznaczać, że wołany już nie żyje".

Fantazja prof. Arytona nie stała się jeszcze całkowicie rzeczywistością. Ale częściowo zrealizowało ją już radjo. Miljony ludzi, przy pomocy słuchawki i niezbyt skomplikowanych aparatów, wysłuchuje codziennie produkcji muzycznych czy głosów, brzmiących z odległości setek i tysięcy kilometrów, a przenoszonych na falach eteru. Nie udało się jeszcze zrealizować indywidualnych połączeń, tak by rozmowa dwóch ludzi pozostawała dla postronnych absolutną tajemnicą, ale technika pracuje energicznie w tym kierunku i wobec jej postępów nie można wątpić, że problem ten w niedalekiej przyszłości szczęśliwie rozwiąże.

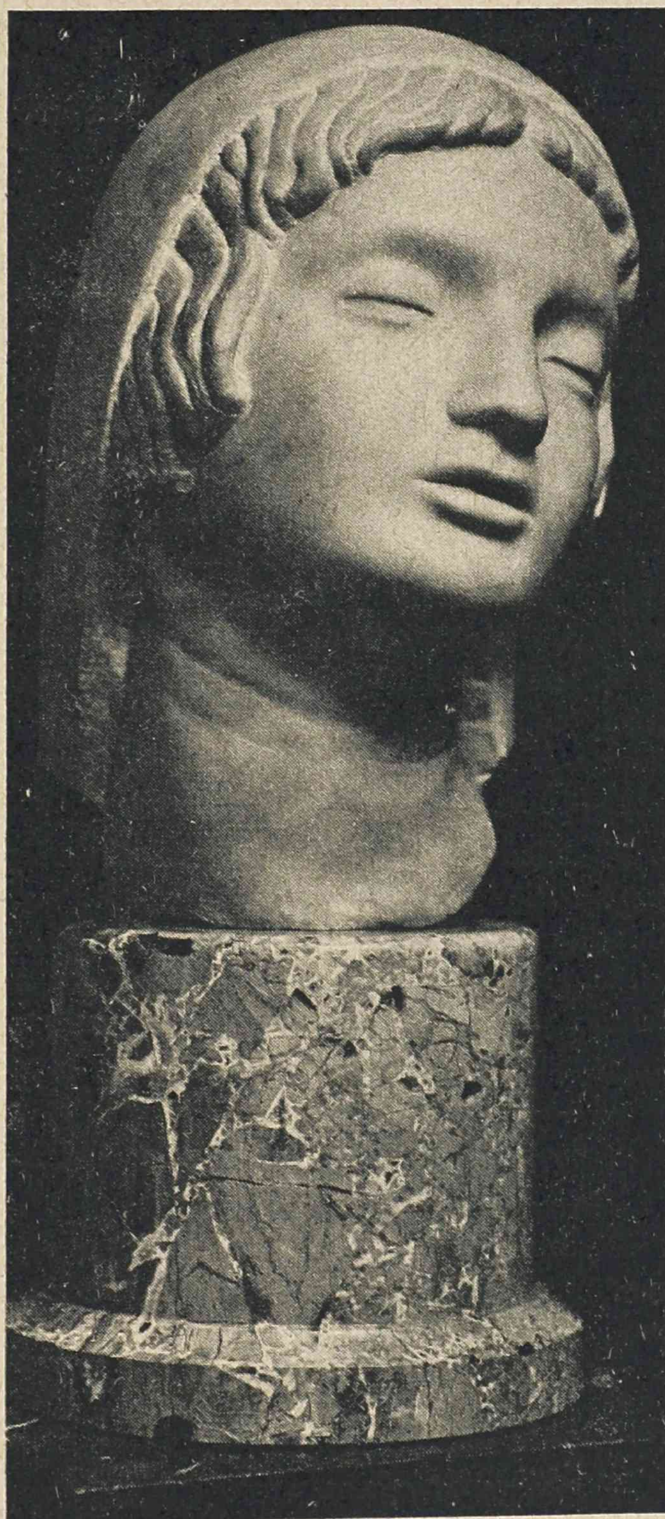
Świetne wyniki, osiągnięte w radju, zachęciły też wynalazców do prób przenoszenia tą samą drogą obrazów na odległość, czyli stworzenia aparatu, któryby umożliwiał nie tylko słyszenie mówiącego z oddali lecz również widzenie go, obserwowanie każdego jego ruchu. Zagadnienie zostało już pomyślnie rozwiązane, teraz armja techniczna pracuje tylko nad udoskonaleniem metody przesyłania obrazów bez drutu. A wobec tego, czy naprawdę daleki jeszcze dzień, kiedy każdy człowiek obserwować będzie bieg wypadków, widowiska teatralne, obrazy kinowe na własnym ekranie, nastawiając swój odbiorczy dalekowidz, podobnie jak radjo, na taką czy inną falę.

Oto kilka fragmentów postępu technicznego z okresu ostatnich 25 lat, fragmentów, z któremi stykamy się codziennie i które stały się już niezbędne do życia współczesnemu człowiekowi. A ileż innych można by jeszcze wyliczyć? Jakąż olbrzymią ewolucję przeszła technika oświetlenia i elektrycznego i gazowego, jak rozpowszechniła się elektryczność nawet w najmniejszych miejscowościach? Albo — technika ogrzewania i oziębiania, która projektuje już budowę zakładów, zaopatrujących w ciepło czy zimno całe dzielnice wielkich miast z jednego, centralnego źródła, która zaczyna nietylko ogrzewać, ale i oziębiać pociągi kolejowe, która rok rocznie rzuca na targ światowy coraz nowe wynalazki, ułatwiające życie. A budowle, wyrastające, dzięki nowym wynalazkom i metodom, tak szybko jak grzyby po deszczu, a nowe syntetyczne, sztuczne materjały, nie ustępujące w niczem naturalnym, a dziedziny produkcji przemysłowej, zyskujące wciąż nowe, coraz doskonalsze maszyny. Technik i wynalazca zapanował nad światem, przemienia jego fizjognomję, zdobywa nowe źródła energji, czerpiąc je z różnicy temperatur, z wody, z powietrza, z słonecznego ciepła, przygotowując się do walnego natarcia na atom chemiczny, aby z jego rozkładu wydobyć nowe, wprost nieobliczalne zapasy siły.

Ze zdobyczy tych ludzkość teoretycznie przynajmniej ciągnie na ogół korzyści. Ale jest i odwrotna strona medalu: wynalazki i dzieła techniczne, służące zniszczeniu, nowe środki wybuchowe o olbrzymiej sile, gazy trujące, pancerne tanki, działa, rzucające pociski na wiele dziesiątków kilometrów. Technika, stojąca na usługach armji, zapisuje za ten okres ćwierćwiecza również świetne rezultaty. Tak świetne, że współcześni nam fantaści, malując wstrząsające grozą obrazy przyszłej wojny, zniszczenia kultury i życia wogóle, nie grzeszą bynajmniej przesadą.

St. Sierosławski

Wystawa Listopadowa u Baryczków



H KUNA „RYTM" WŁASN. B. HERSEGO

Fot. Jan Ryś

W jaki sposób nie poznałem się z Sienkiewiczem

Przed dwudziestu paru laty, gdy sprawowałem w „*Świecie*“ urząd sekretarza redakcji, powiada do mnie dnia pewnego redaktor Krzywoszewski:

— Panie Józefie! Wobec zbliżającego się nowego kwartału musimy mieć coś Sienkiewicza. Drukujemy właśnie ankietę o Tołstoju. Musi pan pójść do Sienkiewicza i poprosić go, by dał nam swoją opinję o tym pisarzu.

Bagatela! Ja muszę pójść do Sienkiewicza!

Zamilkłem, co, oczywiście, było przyjęte przez redaktora, jako znak uległości z mej strony.

Tu muszę dodać, że czułem zawsze w życiu, a osobliwie w owym okresie, niewytłomaczoną wręcz awersję — rodzaj idiosynkrazji — do zaznajamiania się, zwłaszcza „korzystając ze sposobności“, z wielkimi ludźmi. Sama myśl, że mógłbym narzęczać moją osobę ich uwadze czy pamięci, że mógłbym być posądzonym przez nich o to, napawała mnie najświętszem oburzeniem.

Nie był to — uchowaj Boże! — brak czci mej dla nich, — była to — jakby to powiedzieć? — wielka ambicja czy nawet zarozumiałość mej skromności — była to poprostu idiosynkrazja literacka w tym kierunku.

Było to może w gruncie rzeczy jeszcze coś innego: sprawa mej wyobraźni, potrzeba zachowania w tej wyobraźni całego utworzonego ideału postaci wielkiego człowieka, instynkt ochronny, strzegący od rozczarowania co do niej przy zbliżeniu się, przy wymianie z nią słów, przy zetknięciu się z rzeczywistością życia. Tak z róży zerwanej i umieszczonej w szklance po kilku dniach opada żałośnie liść po liściu...

Wolałem zawsze *rzeczywistość ideału*, niż doskonałość czy nawet *ideał rzeczywistości* życia!

Sprawa tego „musi pan pójść“ komplikowała się tym razem jeszcze bardziej z tego względu, że z Sienkiewiczem spotykałem się na większych zebraniach u obecnego ex-senatora B. i — co było istotnie dziwnem — nie znaliśmy się, chociaż z wyglądu postać moja, dość oryginalna, by zwracać na siebie uwagę w towarzystwie, nie wątpię — była mu znaną.

Sienkiewicz, z wieku i z chwały swej starszy i jaśniejszy odemnie, słusznie mógł mniemać, że winienem pierwszy zbliżyć się do niego i przedstawić mu się, ja zaś, skromny i nieśmiały, jak kochanek (tylko w takiej wyjątkowej okazji!), trwałem przy swej zasadzie idealnego stosunku i nie kwapiłem się bynajmniej do jego realizacji. Mijaliśmy się przeto, ja — ze spuszczonemi szanownie oczyma, on z powagą dyskretną na swej wymownej i pięknej twarzy, choć obaj — tak mi się przynajmniej zdawało — z pewnem, niepostrzegalnem prawie, zakłopotaniem i treścią milczącą, tak właśnie, jakgdybyśmy się kiedyś znali i przestali, nie wiedzieć dlaczego, znać.

Na usprawiedliwienie siebie w tej dziwnej okoliczności rozumowałem jeszcze tak: Sienkiewicz jest większy odemnie — o wiele, o wiele — jako prozaik, ale ja za to jestem lepszym od niego poetą. A że poezja jest większa od prozy, więc proza winna pierwsza zbliżyć się do poezji. Dziś widzę, że to rozumowanie było niesłuszne, ale — mój Boże! — przed dwudziestu paru laty, gdy głowa kurzyła się jeszcze nadziejami, było ono całkiem poczesne.

I pomnę — pewnej chwili znaleźliśmy się wypadkiem obok siebie za plecami grających (na zebraniu u tegoż ex-senatora B.) przy stoliku w bridża starych matadorów, przyglądając się jakiejś ciekawej rozgrywce. I gdy jeden z nich — pomnę — zrobił rażący błąd w grze, Sienkiewicz spojrzał na mnie porozumiewawczo swemi wymownemi piwnemi oczyma: zamieniliśmy ze sobą spojrzenie i lekki uśmiech... I był moment — czułem to, jako żywo! — że ręce nasze drgnęły instynktownie do zwarcia się w uścisku znajomości. Spuściłem ze czcią oczy... Zbliżył się ktoś trzeci i uprowadził Sienkiewicza do salonu.

Taki był mój stosunek z Sienkiewiczem — i teraz oto: „musi pan pójść!“

Nie poszedłem, oczywiście (o czem redaktor Krzywoszewski nie wiedział do dzisiaj), napisałem natomiast wytworny poetycko list, prosząc Sienkiewicza o wyżej wymieniony artykuł o Tołstoju.

Nazajutrz nadeszła odpowiedź, również wytworna, w której wielki pisarz oznajmił, że jest pochłonięty wykańczaniem powieści, którą drukuje w odcinkach, że więc nie ma absolutnie czasu na pisanie czegoś innego. Jeżeli jednak znajdzie wolną chwilę, to, ponieważ ma coś w notatkach na żądany temat — odszuka to i nadeśle.

Myślałem, że na tej grzecznej obietnicy sprawa się zakończy. Aż tu po trzech dniach nadchodzi ponowny list od Sienkiewicza, tym razem z artykułem, o który chodziło, i w dodatku — co było już wyraźnym względem dla poety — z rękopisem przekładu Ody Horacego.

Okazałem to redaktorowi ku wielkiemu jego zadowoleniu.

Wydrukowaliśmy artykuł, i w następnym numerze wydrukowaliśmy z honorami ów przekład z Horacego.

W sobotę, po wyjściu numeru, powiada do mnie redaktor Krzywoszewski:

— Bardzo dobrze się stało, panie Józefie, żeśmy z początkiem kwartału mogli dać Sienkiewicza. Trzeba koniecznie, żebyś pan poszedł podziękować Sienkiewiczowi!

Słyszycie państwo? Mam iść *powtórnie* i podziękować Sienkiewiczowi!

Tego już było za dużo!

Omal, że nie ze łzami złości w duszy opuściłem gabinet redaktora. Ale że u mnie reakcja występuje niekiedy w sposób całkiem niespodziewany, więc i tym razem wybiegłem wprost do przedpokoju, wdziałem z pasją palto na siebie, wcisnąłem kapelusz na czoło i, ponieważ była to właśnie pora „wizytowa“, pomknąłem na Kruczą róg Hożej, żeby podziękować Sienkiewiczowi.

Co czułem i ile to mnie kosztowało, niech opowie człowiek, który szedł skazany na śmierć, a którego niezwykłym trafem ułaskawiono, albowiem w samej chwili egzekucji popsuła się gilotyna.

Z wielkiem wzruszeniem zadzwoniłem do drzwi — nie pomnę już którego piętra od frontu — zdaje się, że pierwszego.

Otworzyła drzwi — uff! — i wpuściła mnie do przedpokoju młoda i nieszpetna pokojowa.

— Pan w domu? — starałem się rzec to najswobodniej, choć zdaje się — z mniejszym skutkiem.

— Nie, proszę pana! Pan wyszedł! — odrzekła z rozkosznym uśmiechem.

Przyznam się, że pierwszy raz w życiu chciałem wycałować pokojową.

— Ach, tak?... — ozwałem się, skwapliwie wyjmując bilet wizytowy i podając go uroczej zwiastunce:

— Proszę panienkę doręczyć to panu, gdy powróci.

— Dobrze, proszę pana!

Z jakże wolnem sercem zstępowałem po zasłanych dywanem schodach!

Już byłem przed frontowemi drzwiami od wewnątrz — gdy nagle usłyszałem otwierające się drzwi na piętrze i głos pokojowej, przechylonej snać na poręczy:

— Proszę pana!! proszę pana!! pan prosi!

Przytuliłem się do ściany, jak zając ścigany do miedzy, i stałem, wstrzymawszy oddech.

Raz jeszcze powtórzyły się te słowa — jeszcze chwila — i usłyszałem zatrzaśnięte drzwi na piętrze.

Pocichu otworzyłem drzwi frontowe i, jak winowajca, chyłkiem pod ścianą, szybko pomknąłem do domu.

W taki oto sposób nie poznałem się z Sienkiewiczem.

Potem posłałem mu jeszcze mój tom poezyj, który się wtedy ukazał, wraz z listem i dedykacją, na co otrzymałem list z podziękowaniem i również książkę Sienkiewicza z dedykacją.

Ale stosunek mój z wielkim mistrzem pióra pozostał zawsze, jak należy, na stopie ideału.

Mam nadzieję, że w życiu przyszłem, wolny od spraw literackich, znajomość tę uzupełnię.

Józef Jankowski



JASIU I O KASI

Ilustrował A. Siemaszko

Śliczna mała Kasia
Zobaczyła Jasia.
Oddała Hance piernika
I do Jasia wnet pomyka.

Hanka za nią.
„Nie chcę z Hanią!"
Woła rozgniewana Kasia
I pręciutko myk do Jasia.

Lecz Jaś schował się za bonę,
Jak wróbel za wronę.
„Wolę sanki" — mówi cicho —
„A dziewczynki, pal je licho!"

Kasia w bek,
Hanka w szloch,
— Co on rzekł?!
Och! ach! och!

Na to Jaś pochwycił sanki,
„Nie chcę Kasi, nie chcę Hanki!"
Legł na sankach, w ręce chucha,
I, jak przystało na zucha,
Z górki między starsze dzieci
Pędzi, huczy, grzmi i leci.

Błyszczy śnieg
„Co za bieg!"
Woła zachwycona Kasia
I ogłasza:
„Kocham Jasia!"

Hanka zwraca jej piernika
„Kocham Jasia sankarzyka!"
Woła też rozpromieniona,
Aż się dziwi Jasia bona.

Nagle trzask!
Bona w wrzask,
Kasia się ze strachu cofa,
Co to? co to? Katastrofa?!

Sanki Jasia na pień wpadły,
Jak tygrys zajadły,
Sucho jękły
I na cztery części pękły.

Osypany kurzem śniegu
Leży Jaś, upadły w biegu,
Wokół cisza pełna smutku...
Wtem Jaś wstaje pocichutku.

Roztarł rękę, roztarł nogę,
I poszedł w powrotną drogę.
A gdy Kasia, Hania, Mania,
Powitały go radośnie,
Wdzięczny, zaśmiał się rozgłośnie.

Pamiętajcie, mali Jasie,
Trzeba kochać małe Kasie,
Bo lepiej, niż inne rzeczy,
Nasze biedy tkliwość leczy.

Wacław Grubiński.



JAK ZOSTAŁEM FOTOGRAFEM „ŚWIATA“

Od najmłodszych lat marzyłem o dziennikarskiej robocie.

Dziennikarstwo ilustrowane było moim ideałem.

Oto pewnego jesiennego dnia, w końcu 1905 roku, z nieznanym wówczas rozmachem zapowiedziano wspaniałemi plakatami spełnienie moich marzeń, stworzenie „Świata“, pisma ruchliwego, ze współpracą pierwszorzędnych, najlepszych w kraju polskich sił dziennikarskich, znanych z błyskotliwego, barwnego i żywego stylu, na czele z redaktorem Stefanem Krzywoszewskim, Erazmem Piltzem, Wincentym Kosiakiewiczem i całą elitą ukochaną przez czytelnika polskiego.



Z KRAWĘDZI TRAMWAJU . . .

Fot. Marjan Fuks

„Świat“ od pierwszego zeszytu był rozchwytywany...

To było coś dla mnie.

„Świat“ jest mój... — powiedziałem sobie. O młodości (miałem 21 lat)! Tak mi się zdawało.

A nie pomyślałem o tem, czy ja jestem dla „Świata“.

Młodość i odwaga zrobiły swoje.

A może i to było tupetem dziennikarskim.

Z biciem serca stanąłem w redakcji „Świata“. Przyjął mnie ówczesny sekretarz z pobłażliwością, ale i z dodaniem otuchy przez polecenie: zbierania portretów dla archiwum.

Pomyślałem sobie: dobre i to, niech będzie i dla archiwum!

A tak pragnąłem szybko mieć drukowane produkcje nęcącej mnie aktualności.

Coś nieśmiało o tem bąknąłem.

Odpowiedziano mi:

— Dobrze, niech pan pokaże, co umie.

Mijał dzień za dniem i jak na złość nie mogłem się doczekać chwili do popisu.

Cierpliwie przynosiłem ciągle portrety dla archiwum.

Wtem przypadkowo dowiaduję się, że wybuchła bomba na ulicy Grzybowskiej koło gminy starozakonnych.

Biorę parokonną dorożkę, wstępuję po fotografa z aparatem i po kawalersku gnam na miejsce wypadku.

Na rogu Gnojnej i Grzybowskiej pełno policji, żandarmerji i kozaków.

Ulice okalające miejsce wypadku w czworobok zamknięte. O przedostaniu się poprzez kordony mowy być nie może. Najostrożniejsza próba może spowodować pobicie kolbą, nahajką i zaaresztowanie.

Ogarnia mnie rozpacz.

Oto ten tak długo oczekiwany pierwszy popis fotografa „Świata“ zawodzi.

Czyżbym się nie dostał na miejsce wypadku, będąc już tak blisko?

Zdawałoby się, iż położenie jest bez wyjścia.

Nagle spostrzegam karetkę pogotowia. Błyska mi myśl, którą natychmiast wcielam w czyn. Biegnę naprzeciw pędzącej wcwał karetki pogotowia, rozpaczliwem wymachiwaniem rąk zatrzymuję ją w biegu i ze łzami w oczach błagam lekarza o przewiezienie mnie przez kordony policji, żandarmerji i kozaków. Zapewniam doktora, że „Świat“ mu będzie wdzięczny.

Lekarz ryzykuje i przewozi mnie. Dostaję się na miejsce wypadku.

Po wyjściu z karetki, błyskawicznie jestem otoczony żandarmami.

— Pan do kogo? — pyta żandarm.

Odpowiadam z tupetem.

— Do p. oberpolicmajstra Meyera.

Prowadzą mnie.

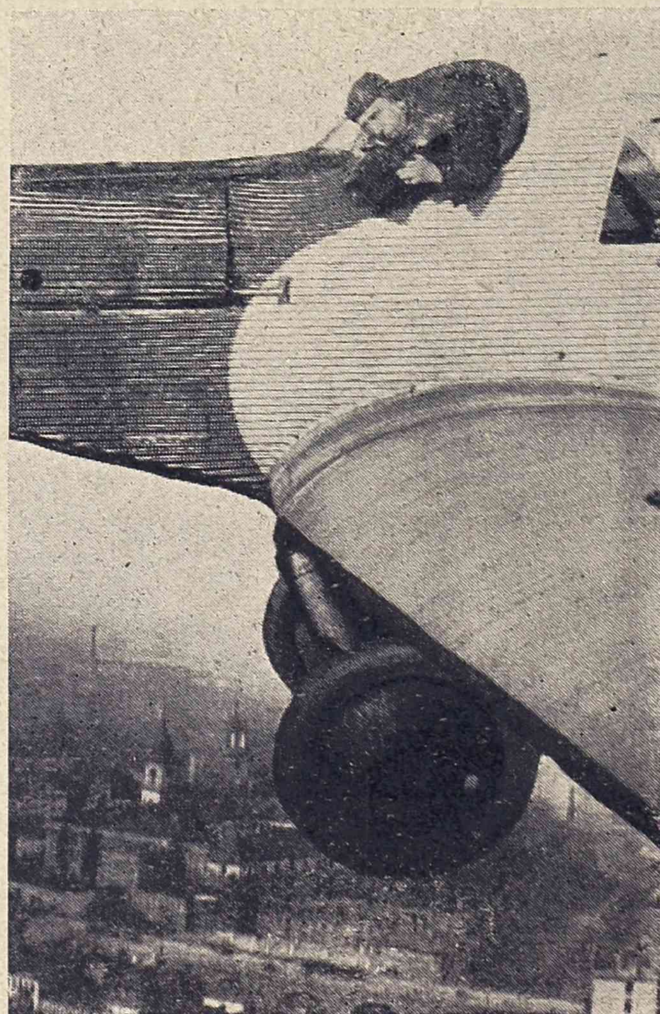
Płk. Meyer, zadowolony z pierwszych dochodzeń śledczych (tylko sześć trupów padło, ale gen. Uthoffowi nic się nie stało), wita mnie wesoło i osobiście towarzyszy przy fotografowaniu śladów bomby i ofiar.

Jest jeden bardzo „ciekawy“ trup. Oderwało mu nogi i ręce i zniekształciło twarz. Policmajster każe przynieść oderwane oddzielne ręce i nogi, „dopasowuje“ do trupa i stwarza mi „całość“ zwłok. Wrażenie straszne.

Robi mi się słodko w ustach.

Dla porządku pytam się o nazwisko tej ofiary. Wymieniają mi. Robi mi się niedobrze i zemdlałem.

Okazało się, że były to zwłoki mego kuzyna, urzędnika komunalnego. Szybko ocucili mnie. Ochłonąłem i przyznaję się do tej nieludzkości dziennikarskiej. Nerw szybkiej obsługi „Świata“ kazał mi natychmiast zapomnieć o przeżytem wrażeniu, szybko wrócić do domu i wywołać klisze, skopjować odbitki i w 45 minut od chwili wypadku już byłem w redakcji „Świata“, pierwszy z wiadomością o zamachu i jednocześnie z 6-cioma b. ciekawemi odbitkami.



Z AEROPLANU... ZDJĘCIE Z LOTU PTAKA OBJEKTYWEM TELESKOPOWYM

Fot. Marjan Fuks

Wiadomość o tej bombie dopiero w 2 godziny potem była rozpowszechnioną przez dodatki nadzwyczajne.

Tym razem miałem pierwszy raz okazję poznać osobiście naczelnego redaktora „Świata“, p. Stefana Krzywoszewskiego i przez ten wypadek przeszedłem chrzest i zostałem fotografem „Świata“.



ZE SŁUPA ELEKTRYCZNEGO... DEFILADA NA PLACU MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

Fot. Marjan Fuks

A potem...

Robota szła tak obficie, jak wypadki.

Pełno nadzwyczajnych wydarzeń za czasów okupacji moskiewskiej, potem niemieckiej i wreszcie po „wybuchu“ Niepodległej Polski.

Tak się przyzwyczajono do aktualności i do mnie, że uprzedzano mnie nietylko o uroczystościach ogólno-państwowych, towarzyskich, związkach, zebraniach, zjazdach i t. p. ale nawet miałem wypadek, że ktoś z konspirujących przy zabójstwie ongiś b. popularnego z nieludzkości agenta „ochrany“ Grüna, przez wezwanie telefoniczne przed aktem zabójstwa, niby to na „jakiś“ wypadek, sprowadził mnie w strefę strzałów.

Przyzwyczajenie w łączeniu aktualności z moją osobą, z biegiem czasu, stało się tak ogólne, że do dnia dzisiejszego ciągle otrzymuję zawiadomienia, zaproszenia i alarmujące telefony o wszystkich ważniejszych zdarzeniach i wypadkach.

Dzięki temu, mistrz Kornel Makuszyński nazwał mnie w jednym ze swych bezcennych feljetonów „Okiem Warszawy“.

I teraz skwapliwie reaguje na te przyzwyczajenia łączenia aktualności z moją osobą. Trawię w tym żywiole moją niewyczerpującą się energję i nadal jestem fotografem „Świata“.

Marjan Fuks

Pitigrilli w Warszawie

Nie mam zamiaru analizować twórczości Pitigrillego. Wiadomo ogólnie, że jest on twórcą współczesnego Dekamerona — że on jeden jest dziś znawcą duszy kobiecej w pyżamie i bez pyżamy — że on pierwszy puścił na rynek wszechświatowy karaty szlachetnych a niedocenianych dotychczas kamieni dziewictwa — że on rozwiązał zagadnienia zwierzątek seksualnie luksusowych, a nawet mężczyzny, który szuka miłości.

Nie są mi znane szczegóły erotyczne z życia Bocaccia, ale o Pitigrillim legenda głosi, że wszystko pisał z własnego doświadczenia, a doświadczał dla własnej przyjemności — że jest to najbardziej stuprocentowy mężczyzna, zrodzony pod błękitnem niebem włoskiej literatury — że nie oparła mu się dotychczas żadna cnotliwa — i co dziwniejsze — żadna niecnotliwa kobieta — że, jednem słowem, jest uosobieniem tych wszystkich męskich walorów, tym idealnym kochankiem, wypieszczonym w dziewiczych snach rozwódek.

Skarżą się dziś w literaturze oraz wytwornych sferach towarzyskich na obojętność kobiety. Jest aromantyczna, aerotyczna, aliryczna. Rozkoszuje się wonią benzyny, pieści z dyskiem. Jedynymi mężczyznami, którzy są w stanie obudzić żywsze krążenie krwi w jej żyłach, są Packard, Nurmi, Patou, Herse — a zresztą, zimna jak głaz.

Tę smutną opinję wyrobił kobiecie — jakże niesłusznie — jej własny mąż. Czy jest wogóle mąż, któryby nie wyrabiał najgorszej opinji swojej żonie, często nawet mimowoli? Bo — jakby nie powiedział Pitigrilli, który nie ma czasu na porównania — własna żona jest jak obraz, który widzi się zbliska: farba na farbie, plama przy plamie. Dopiero w perspektywie dobry obraz zaczyna się podobać. A żona? Otwiera perspektywy na rachunki.



PITIGRILLI

Lecz nie miejsce i pora litować się nad losem żon, lub też użalać na brak temperamentu i wszelkiego zainteresowania w sportach miłosnych. Kobieta jest zdolna do erotycznych porywów, tęskni za wyrażeniem swoich afektów i nie przez snobizm znudzili się jej pułkownicy i ministrowie.

Kobieta szuka mężczyzny.

Pitigrilli zjechał do Warszawy!

Nie znaczy to, że Warszawianki znalazły mężczyznę — lecz jako że każda epoka ma swojego tenora, a tenor swoją sławę erotyczną, a i wielbicielki tenorów ustaloną sławę — przeto miłe panie szalejące na odczytach „o kobiecie w miłości“ — proszone są, by nie brały zbyt erotycznie tenora włoskiej literatury...

Taka sama Dekobra (wąż boa), jak każda inna... I spojrzyjcie tylko na tę fotografję w trykociku. Czy nie przesada — w naszym klimacie?

H.

N A K A R N A W A Ł

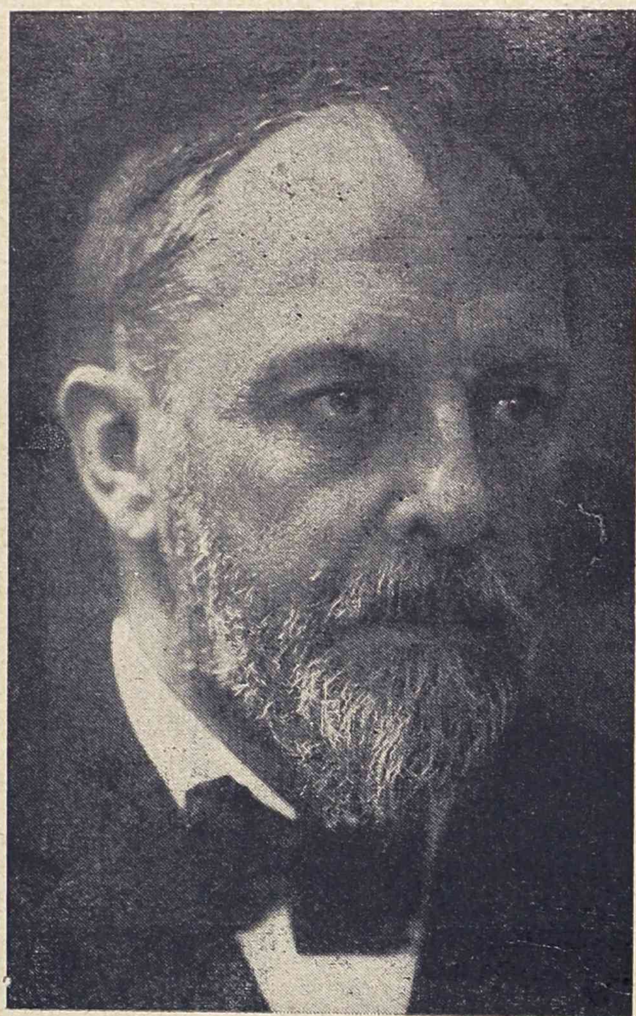


Efektowny model sukni wieczorowej z karnawałowej kolekcji firmy BOGUSŁAW HERSE

1931



NOWY PREMJER RZĄDU FRANCUSKIEGO



Senator Steeg uformował nowy gabinet o tendencjach radykalnych

Pani Ministrowa

Komedje Adama Grzymały Siedleckiego cechuje dowcip i nonszalancja. W *Pani ministrowej* więcej, niż w innych komedjach Grzymały, jest dowcipu, ale i więcej nonszalancji. Za to nieskąpienie dowcipu jesteśmy autorowi wdzięczni, natomiast trochę zaduża doza nonszalancji cokolwiek nas gniewa. Gniewamy się jednak śród śmiechu. Gniewamy się, że rozswawolony autor nic sobie nie robi z czystości formy komedjowej, że co i raz zarywa farsą, a od czasu do czasu nawet kabaretowym szkicem, że pośród najwyborniejszych dowcipów puszcza się na żarty jaskrawe, nie mogące sprawić przyjemności przeciętnemu obywatelowi, że pewne akcenty satyryczne pod adresem ministrów i pod adresem kleru brzmią za mocno nietylko dla fanatyków poszanowania władzy i nietylko dla bigotów, ale zanim się zmarszczymy, już nas rozbraja świetna sytuacja i pierwszorzędnie efektowne powiedzenie.

Króluje w *Pani ministrowej* Mieczysława Ćwiklińska, arcygwiazda pierwszej sceny polskiej, artystka nietylko fenomenalnego talentu, ale i fenomenalnego smaku. W ostatniej sztuce Grzymały znów budzi zachwyt i huragany oklasków. Obok niej raduje nas niezawodny komizm Fertnera i wesoły temperament p. Hnydzińskiego. Pozostałe role obsadzono niewłaściwie, a dekoracje dano bardzo liche. Nawet w Czarnogórzu na długo przed wojną Europejską zamożniej wyglądał gabinet prezesa ministrów, niż to, co nam pokazano w trzecim akcie ostatniej nowości Teatru Letniego.

W. Gr.

Szlakiem dziesiątej muzy

(Niby feljeton).

O czem tu pisać w dniu jubileuszu
W dobie kryzysu — gdy w branży filmowej
Niemoc jedynie — zamiast animuszu,
Gdy — choć kryzysu to jest „likwidacja",
Jak się wyraził dygnitarz skarbowy,
Dziś jubileusz obchodzi stagnacja
I trwa wciąż nastrój wkrąg listopadowy...
Gdy i najmędrsi z filmowców nie wiedzą
Czy jeszcze stoją, czy leżą, czy siedzą...

Taką smętną elegją powinienem zacząć dzisiejszy feljeton, choć pono nie przystoi płakać w dniu jubileuszu. A właściwie — może nawet przystoi, bo przecież każdy jubileusz to do pewnego stopnia emerytura, to uroczystość, zamykająca okres przeżyty, a więc to, co było wczoraj, a nie to, co dziś, ani jutro... tembardziej, że jak mówi poeta:

„I to co jest, i to co będzie
Podobne złotej jest legendzie
Odartej z wszystkich kras" —

Więc może nawet elegja jest tu właśnie na miejsecu... A choć z drugiej strony twierdzą ludzie przy nadziei będący, że nigdzie tak dobrze nie jest, jak u nas, a będzie jeszcze lepiej („jak rak świśnie"...) — ja tam sobie już przy tym żałosnym nastroju zostanę. Wprawdzie lepiej jest śmiać się, niż płakać, ale i łzy potrzebne. Zwłaszcza w takim interesie, jak filmowy, gdzie dramat zawsze góruje nad komedją... Bo powiedzcie proszę: na pięć komedji z Busterem Keatonem, Haroldem Lloydem, Charlie Chaplinem i dwoma lżejszej wagi Sztekkerami humoru ileż przypada dramatów filmowych na rok? Conajmniej trzydzieści, jeżeli nie pięćdziesiąt — i to takich, w których Liljana Gish beczy, jak zarzynane jagnię, Smosarska łzawi, jak oko silnie potarte cebulą, Nora Ney ginie z jękiem rozpaczy, Norma Talmadge jęczy z rozpaczą w sercu, Pola Negri zabija i jest zabijana, Batycka się wampirzy, a Gawęcka umiera „z dnia na dzień", że wymienię tylko kilka swojskich i nie swojskich gwiazd... Ba! zapomniałem o Malickiej, którą „Janko-muzykant", zrodzony przez Sienkiewicza, adoptowany i kontynuowany przez Goetla — wzrusza w sposób zgoła wyjątkowy, mimo protestów Żabczyńskiego...

Jak powiedziałem więc — nastrój żałosny...
Na radość — wolę poczekać do wiosny,
Gdy już się wszystko zrobi na zielono
I wszystkie serca miłością zapłoną,
Gdy już zaginie najlżejszy ślad grypy
A miast, jak dzisiaj, pogrzebowej stypy
Po tem, co wali się codziennie w gruzy —
Ucztę wydamy na cześć Niemej Muzy,
Że odrodzone znów i wypoczęte
Zacznie istnienia żyć bujnego pełnią —
I wszystkie owe plany się wnet spełnią,
Które śnią w duszy — filmowe panięta.
Gdy nagle niby z rogu obfitości
Nowe się polskie posypią obrazy —
„Dramaty szczęścia", „tragedje miłości",
Wszystko — bez błędu, bez skazy i zmazy,
Więc „Farsa Heni", „Orlica", „Shańbiona"
I „Wierna rzeka" i „Wierna kochanka"
(W nich nowe siły i nowe imiona:
Więc Staniszewska, Obarska, Dullanka),
Film, który kręci pięciu reżyserów
I reżyserów — lecz bez filmu — pięciu —
Tych kilku z „forsą" i setka frajerów —
Byleby kręcić! Byleby coś kręcić!
Wtedy napewno zaraz zmienię zdanie
I wraz elegję w hymn radości zmienię...
Bo, jak z jesienią łączy się cierpienie,
Tak znowu z wiosną — szczęście
[i kochanie...

Byle więc do wiosny... do maja, tego miesiąca miłości, róż, słowików i tego, o czem się nie mówi... albo raczej o czem nie zawsze się pisze... „Bo, wogóle, proszę pana, maj to już nie jest ten maj, co dawniej" — jak mówi mój pedicurzysta p. Hermogenes Baltazar, który uważa się też za znawcę w dziedzinie filmu, jako że kiedyś już „filmował"... Tylko nie wie, czy jest dostatecznie fotogeniczny, bo przez intrygę jednego z gwiazdorów — zdjęto go z odwrotnej strony.

P. Hermogenes czytuje „Świat"... Wierzy też święcie w to, co się pisze o filmach... Wie, że napisano scenarjusz dla Kiepury... Wie, że jest już taki scenarjusz, w którym główną rolę grać ma Jaracz... Słyszał także, że reżyser Buczkowski ma kręcić film z Jaraczem... Więc pyta się wczoraj: czy to ten sam film, o którym pisał „Świat". Mam go uspokoić wiadomością, że to nie ten sam i że, jak się okazuje, Jaracz będzie mógł grać dwie główne role w dwóch nowych filmach...

Pan Hermogenes Baltazar kocha się w Jaraczu... Ta „Ulica", panie, ta „Ulica"! Mówi do mnie wczoraj: byłem w „Ateneum". No, wie pan, ten Jaracz! Ostatni guzik, panie, ostatni guzik! Gdyby chciał jeszcze robić sobie pedicure — gotów jestem bezpłatnie, panie, bezpłatnie; bezinteresownie do końca mego marnego żywota... I tym panienkom, co tam grają, panie — za pół ceny...

„A dlaczegóż to im, panie Hermogenesie, za pół ceny, a Jaraczowi — zupełnie *gratis*? — Spogląda na mnie z odcieniem pogardy: — „Gratis i franco, szanowny panie, gratis i franco... Wprawdzie płeć piękna, oczywiście, ewentualnie też ma swoje przy-

wileje, ale pierwszeństwo tym razem nie dla dam... Phi, phi... Jaracz! Tę „Ulicę" to pan szanowny powinien koniecznie z nim sfilmować...

Trudno p. Hermogenesowi tłomaczyć, że „Ulica" to utwór obcy, że trzeba by płacić honorarjum w funtach sterlingach, a czy wprawdzie mamy kilku utalentowanych Sterlingów, mamy również i ciężarki funtowe, ale tak razem do kupy zbić funty i sterlingi to już byłoby trudniej...

Ale mnie poczciwiec rozśmieszył... Wiadomości o plajtach na rynku filmowym wywietrzały mi z głowy. Poczułem się lekki w nogach (może to wskutek dopiero co ukończonych zabiegów p. Hermogenesa Baltazara) i poleciałem do „Colosseum" oglądać film przedziwnie misterny, koronkowej roboty: etiudę kinematograficzną Einsteina, Aleksandrowa i Archangielskiego, obraz paryski, stworzony przez melancholję i poezję trzech dań artystycznych nawskroś rosyjskich...

I dziwiłem się, że tak przedziwnie piękny film tak mało pociągnął publiczności... Przecież to arcydzieło swego rodzaju...

Ta „etiuda" — jest, mimo wątłości akcji, skończenie pięknym filmem, pozostawiającym głębokie wrażenie, tem głębsze może, że twórcy od jesiennego smętku przeszli w finale do radosnego krzyku o wiośnie... Pokazali nam serce zastygłe w melancholji i serce ożywione radością wiosny i kochania.

Przypomniała mi się śliczna piosenka skomponowana przez Wiktora Krupińskiego:

„Akacje przekwitają
I bzy przestały żyć —
A moje zwiędłe serce
Znowu zaczyna żyć...
Jak wicher listki w lesie —
W krainę wiecznych złud
Znowu mnie fala niesie...
W przygodę, w miłość, w cud!"

Szkoda, że nie mogę zanotować na tem miejscu melodji, jak zanotowałem początek tekstu...

Ale usłyszycie tę piosenkę... Ma ona być wpleciona w film... A treścią filmu: miłość wytwornego Old Gentelmana, którego u nas powinienby zagrać Junosza-Stępowski, a w Ameryce — Lewis Stone...

Wiosną kochanie, miłość, akacje, bzy...

No — i feljeton zaczęty tak smętnie jakoś po drodze pogubił wszystkie łzy i pozbierał tak rzadkie w życiu uśmiechy...

Bo czyż wiosna nie jest uśmiechem życia, a kochanie — uśmiechem duszy?...

Tadeusz Kończyc

„WIATR OD MORZA"

Dylemat ekranu — dylemat literatury — dylemat ideowości.

Może nigdzie silniej i dobitniej jak w filmie „Wiatr od morza" nie zostało przeprowadzone to artystyczne powiązanie „trjumviratu" dylematów najbardziej skomplikowanych. Ekran, a zatem jego wymogi i kanony, tak dalekie od wymogów i kanonów literatury — literatura, ograbiona ze swej podstawowej właściwości, t. j. ze słowa i — wreszcie — ideowość, tak często kłócąca się z interesem filmu, który szuka ruchu, dynamiki, życia, a nie znieruchomiałej statyki morału. W filmie „Wiatr od morza", odzierając Żeromskiego z jego najwspanialszej broni, z kunsztu języka — chcieli realizatorzy przedewszystkiem zachować intacte jego tezę, jego ideę: pomorze było odwieczną ziemicą polską — a to, co się wdarło w nią obcego — pozostało zawsze obcem i musiało być prędzej czy później przez zdrowy organizm narodowy wyrzuconem. Ale dla przeprowadzenia tej tezy, Żeromski miał 400 stron papieru — realizatorzy zaś filmu mieli 3.000 metrów tylko taśmy. Żeromski miał najelastyczniejszą ze wszystkich sugestję słowa, oni mieli tylko realną, namacalną sugestję optyki — ciasne ramy soczewki, fatalne prawo zwięzłości technicznej. Kaprys autora mógł rozprzestrzenić swą tezę na setki epizodów i stuleci, aby zakończyć mocnym finałem odjazdu Smętka z ziem polskich, śmierci pierwiastka obcego, tkwiącego w naszym organiźmie — realizatorzy zaś filmu musieli stworzyć basis bardziej jednoplanowe, mimo wszelkiej wieloplanowości ekranu — dać mu w jednej opowieści początek i koniec i w tej jednej opowieści, umiejętnie, nie barbarzyńsko uniezależnionej od Żeromskiego, pomieścić jednak całą podstawową treść dzieła Żeromskiego. Na jego temat „Łodzi podwodnej" — osnuta i rozsnuta została historja trojga młodych serc: prusaka — półprusaka i polki, zmagających się rozpaczliwie z własnem przeznaczeniem i co ważniejsza, z ciężarem dziedziczności, z właściwościami swej rasy. Zwycięża *rasa polska*, zwyciężają odwieczne prawa tej ziemi, w wieniec chmurnej piękności swojej, obramowującej zimne fale Bałtyku. Smętek odchodzi — złamany. Nie jest to „hetzfilm"—nie krzyczy z ekranu pierwotność plemiennych uraz i gniewów. Nic podobnego! Jak u Żeromskiego, jest tylko majestat prawdy dziejowej. W „Wietrze od morza" huczy istotnie wiatr od polskiego morza, epiczny hymn niezwalczonego narodu. I dlatego ten film jest inny, niż dotychczasowe przeróbki powieści dla ekranu. Nagięło się wszystko, co w mocy ludzkiej jest, aby rzecz była piękna, aby była konsekwentna, aby była wierna Żeromskiemu, nietyle w treści, co w ideowości. U Żeromskiego biła zawsze ideowość i forma wszelką treść. No i aby była propagandową na całą Polskę, na cały świat. Partycypowali w tem wysoce ideowem i artystycznem tworzywie: Czyński reżyser — Sieroszewski, M. J. Wielopolska, Stern, scenarjusz i opr. literackie — Theyer operator — Maklakiewicz, muzyka — a artyści: Junosza-Stępowski (graf Arffberg, stary); Brodzisz i Bodo (młodzi grafowie); Marja Malicka (młoda małżonka Boda); Skonieczny (ekonom-prusak); Trapszo (piastunka kaszubska); Irena Gawęcka (rybaczka) i in.



Adam Brodzisz i Eugenjusz Bodo w roli braci Arffbergów, oficerów niemieckiej łodzi podwodnej w najnowszym polskim filmie dźwiękowym „Wiatr od morza", według arcydzieła St. Żeromskiego, reżyserji Kazimierza Czyńskiego

Z dniem 20 bm. wkroczy „Wiatr od morza" na ekran, jako najszlachetniejsza, a zarazem najpotężniejsza odpowiedź Treviranusom i Hittlerom.

M. J. W.



Columbia

Graphophone Co, Ltd, Londyn

ogłasza niniejszem

Konkursowe zadanie muzyczne

Niepowszednie napięcie przeżywać będą muzycy i melomani dzięki konkursowi, który organizuje znana wszechświatowa firma płyt i aparatów gramofonowych **„Columbia" Graphophone Company, Ltd. Londyn.** W fabrykach **„Columbia"** nagrane zostały specjalnie dla tego konkursu dwie płyty:

1) „Ballada o nocy", „Melodja" Antoniego Rubinsteina
2) „Pieśń miłosna Poganina" z filmu dźwiękowego „Poganin"
„Wymarzony kochanek" z filmu dźwiękowego „Parada miłości"

Utwory powyższe wykonane zostały przy akompanjamencie fortepianu przez jedną i tę samą osobę, na jednym i tym samym instrumencie.

Zadanie konkursowe polega na tem, ażeby nabywca jednej z dwuch wyżej wymienionych płyt, określił na jakim instrumencie utwory te zostały nagrane.

Nagrody konkursowe są następujące:

1. Oryginalny, luksusowy szafkowy aparat mahoniowy marki **„Columbia"** Nr. 120.
2. Oryginalny aparat walizkowy luksusowy marki **„Columbia"** Nr. 201.
3. „Cyganerja" opera G. Pucciniego nagrana wyłącznie na płytach **„Columbia"** w albumie ozdobnym w wykonaniu solistów, chórów i orkiestry opery „La Scala" w Medjolanie. Ogółem ponad 200 wykonawców (13 płyt).
4. Oryginalny aparat walizkowy model Nr. 50 marki **„Columbia".**
5. Szeherezada, Poemat symfoniczny, Rymskij-Korsakowa nagrany wyłącznie na płytach **„Columbia"** przez Paryską Orkiestrę Koncertową pod dyrekcją Filipa Gauberta w ozdobnym albumie (6 płyt).
6. Nokturny Chopina nagrane wyłącznie na płytach **„Columbia"** przez znakomitego pianistę Leopolda Godowskiego w ozdobnym albumie (5 płyt).
7. Serja przebojów tanecznych (4 płyty).

Powyższe nagrody zostaną rozlosowane w obecności notarjusza w dniu 30 stycznia 1931 r. pomiędzy osobami, które nadeślą do tej daty trafne rozwiązania.

Siedzibą Komisji Konkursowej, do której należy wysyłać odpowiedzi jest redakcja miesięcznika „DŹWIĘK", Warszawa, Marszałkowska 62.

Płyty konkursowe są do nabycia we wszystkich bez wyjątku składach muzycznych Rzeczypospolitej Polskiej w **cenie Zł. 7.50** za dwustronnie nagraną płytę. Każda płyta sprzedawana będzie w zapieczętowanej kopercie, zawierającej kupon konkursowy upoważniający do udziału w konkursie.

Prawidłowe rozwiązanie zadania oraz lista nagrodzonych zostaną podane do wiadomości publicznej dnia 7 lutego 1931 r. w pismach codziennych oraz w numerze lutowym miesięcznika „DŹWIĘK".



Płyty „Columbia" nie szumią.

Gdzie ubiera się wykwintna warszawianka?



P. Lena Żelichowska w sukni z firmy W. JANISZEWSKI i S-ka

Przez dwadzieścia lat trafiać do gustu szerokich kół klijentek, dogadzać każdej zachciance, kaprysowi płci pięknej — to nielada wyczyn i nielada zasługa kierownictwa firmy, a jednak takim sukcesem może poszczycić się znana i popierana przez najlepsze sfery stolicy, firma krawiecko - modniarska „W. Janiszewski i Ska", przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 145.

Założona dwadzieścia lat temu, dzięki niezmordowanej pracy swych kierowników i założycieli, dzisiaj cieszy się wielką popularnością i poparciem elity towarzyskiej Warszawy.

Po przekształceniu się na Spółkę Akcyjną, firma posiada własne pracownie na miejscu, w których najlepsi krawcy starają się zadowolić najwybredniejsze nawet gusty klijentek.

Bogaty dział futer, okryć, sukien od najstrojniejszych do najskromniejszych oraz kostjumów — wszystko wykończone według ostatnich modeli i wzorów paryskich — oto co można nabyć w firmie W. Janiszewski, która nigdy nie uciekała się do szumnych reklam i ogłoszeń, ale za to dawała swym klijentkom najlepszy towar po najniższych cenach.

Na nadchodzące święta i karnawał każda, nawet najwybredniejsza pani znajdzie w firmie W. Janiszewski, Marszałkowska 145, wszystko, co należy do wykwintnej toalety damskiej.

Dla wygody klijentek, telefony — 685-49 i 685-50.

50-LECIE
ZNANEJ FIRMY CUKIERNICZEJ M. STARORYPIŃSKI W WARSZAWIE



M. STARORYPIŃSKI

Znana i popularna firma cukiernicza „M. Starorypiński" w Warszawie, obchodzi w roku 1931 jubileusz pięćdziesięciolecia pracy swej na polu cukierniczym. Warto tutaj zaznajomić Czytelników „Świata" z historją powstania i rozwoju tej znanej firmy.

Założycielem jej był w roku 1880-tym p. Mieczysław Starorypiński, zasłużony na polu wychowania całego szeregu fachowych sił, dziś przodujących w cukiernictwie.

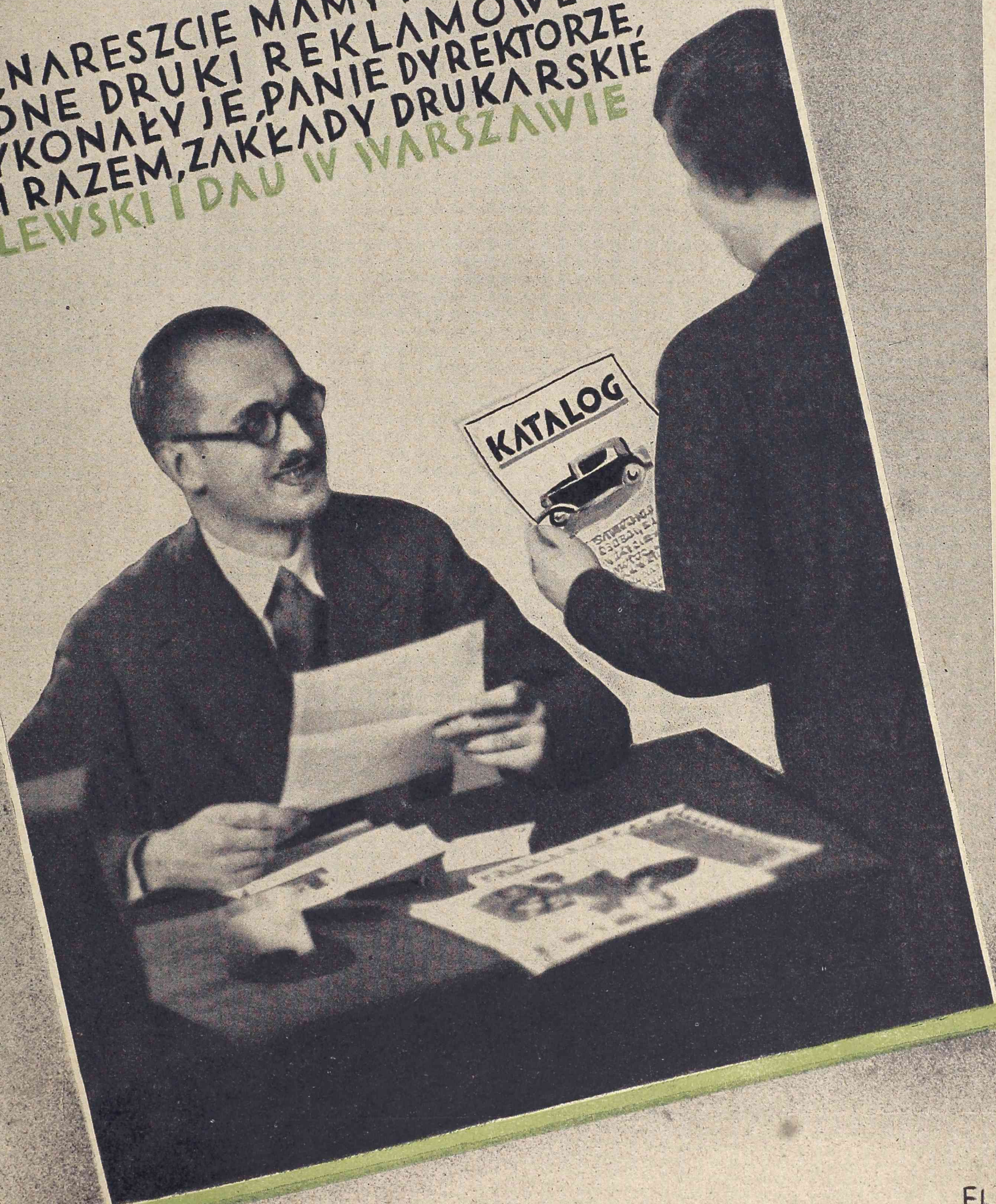
Przed wojną światową firma „Starorypiński" znana była ze swych smacznych wyrobów nietylko w całej Polsce, ale i za granicami kraju. Prowadziła ona eksport swoich wyrobów na wielką skalę, przynosząc chlubę cukiernictwu polskiemu. Dzisiaj, pod naczelnem kierownictwem p. Mieczysława Starorypińskiego, jubilatka jak przed wojną przynosi chlubę przemysłowi cukierniczemu. Niema bodaj warszawiaka, któryby nie znał wybornych ciast, cukrów i pączków Starorypińskiego. Energiczna i wytrawna dłoń szefa firmy powołała do współpracy zaszczytnie znanych na polu cukiernictwa pp.: Damazego Sobola, Br. Chmielewskiego, Antoniego Flejcherta i E. Ratkego. Oni to dzisiaj wspólnie z p. Mieczysławem Starorypińskim starają się o to, by zadowolić wielkie rzesze i wybredne gusty klijentów w Warszawie, do których wysyła się towar własnymi samochodami.

Starym tradycjom stało się zadość... wyroby firmy „Starorypiński" jak były znane i lubiane przez wszystkich temu 50 lat — tak i dzisiaj znajdują wszędzie chętnych nabywców i znane są ze swej dobroci i smaku, a fabryka, mieszcząca się na ul. Hożej Nr. 50 z ledwością podołać może zamówieniom klijentów, dzięki najnowszym urządzeniom fabryki.

Dla dogodności licznej klijenteli firmy „M. Starorypiński", podajemy poniżej adresy sklepów w Warszawie: Aleje Jerozolimskie Nr. 24, — Ordynacka Nr. 7, — Marszałkowska Nr. 77.

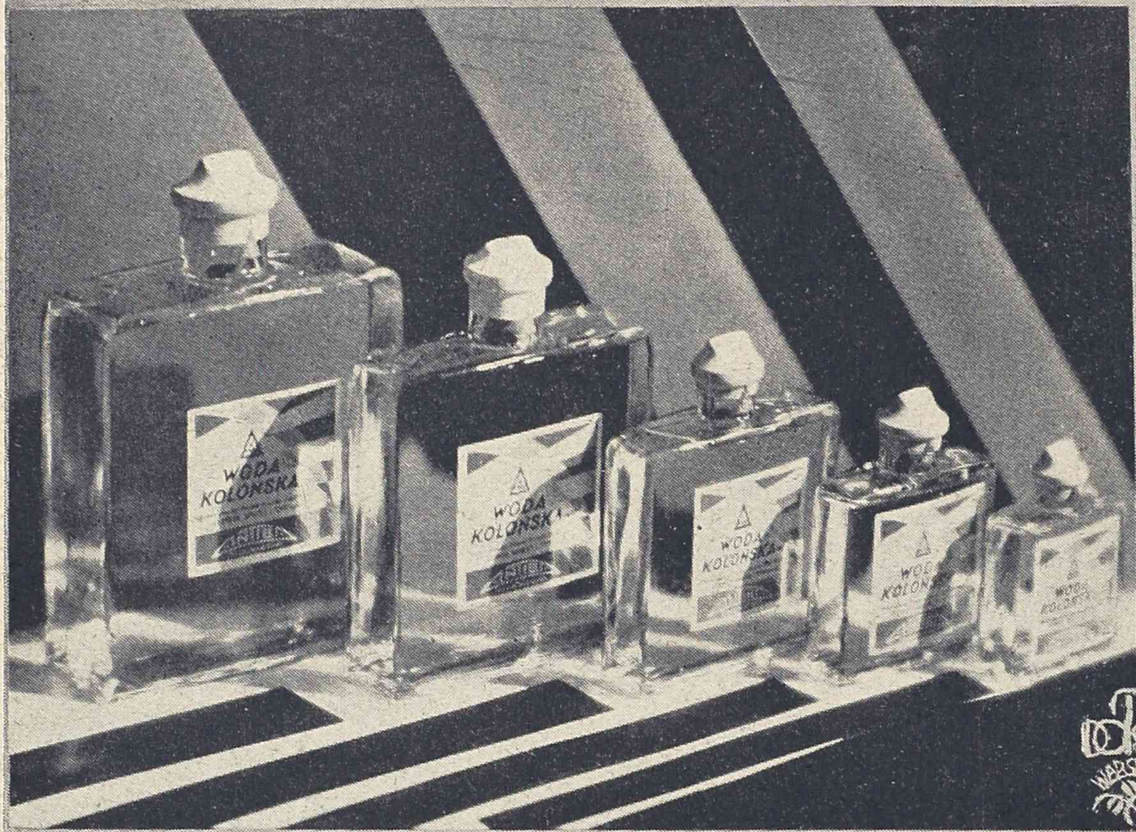
W roku jubileuszowym, życzymy zasłużonej i popularnej firmie dalszego pomyślnego rozwoju.


GD
1880



NO, NARESZCIE MAMY PIERWSZO
RZĘDNE DRUKI REKLAMOWE
WYKONAŁY JE, PANIE DYREKTORZE,
TYM RAZEM, ZAKŁADY DRUKARSKIE
GALEWSKI I DAU W WARSZAWIE
KATALOG
F.L.

SAVONA





HAZELITE
GLYCERIJELL
DENTOSAN





ANTIBA
Sp.z.o.o.
Warszawa

PETROL

CZEKOLADA
KLUBOWA
ZŁOTO MLECZNA

Fuchs



CHÓR
DANA
WYŁĄCZNIE
NA
PŁYTACH

ODEON



Wszystkie przeboje rewjowe, filmów dźwiękowych, repertuar klasyczny, na wszechświatowych płytach ODEON

„SKUTKI MAŁŻEŃSTWA"

Magdalena Samozwaniec, autorka świetnych dowcipnych felietonów, wygłosiła w Warszawie odczyt p. t. „Skutki małżeństwa", wywołując na szczelnie zapełnionej sali race śmiechu śmiałemi paradoksami o współczesnych stadłach małżeńskich

Fot. Jan Malarski

HUMOR ZAGRANICZNY

— *Kiedyż wreszcie będzie gotów mój garnitur?*

— *Jak tylko ureguluje pan należność za poprzedni.*

— *Ależ ja nie mogę tak długo czekać!*

(Lustige Blätter).

*

— *Moim celem życiowym jest budzenie ludzkości...*

— *Chodzi panu o zreformowanie społeczeństwa?*

— *O nie, tylko o sprzedaż budzików.*

(Universul).

*

— *Czy pan jest pewien, panie profesorze, że mnie pan uleczy z tej choroby?*

— *Ależ oczywiście. Ta choroba — to moja specjalność. Mam pacjentów, których leczę po kilka lat.*

(Simplicissimus).

*

— *Nie mogę znaleźć wydawcy dla mojej powieści.*

— *E, bo ty się zwracasz pod niewłaściwym adresem.*

— *Jakto?*

— *Prześlij rękopis fabrykantowi środków nasennych.*

(Fantasio).

*

Nauczyciel: — Ile jest pór roku?
Moryc: — Pięć, panie psorze.
Nauczyciel: — Jakże pięć?
Moryc: — Wiosna, lato, jesień, zima i martwy sezon.

(N. Wiener Journal).

*

— *Jak się miewa pani mąż?*

— *Ma kłopot z żołądkiem.*

— *Czy nie może jeść?*

— *Wręcz przeciwnie — ma straszny apetyt.*

(Onlooker).

Profesorowa, wchodząc do gabinetu męża:

— *Czy wiesz, Haroldzie, że dziś właśnie mija dziesięć lat od dnia, w którym oświadczyłeś mi się.*

— *Co ty mówisz? Dziesięć lat? Hm, to czas chyba, byśmy się pobrali...*

(N. Wiener Journal).

*

— *Panie mecenasie, co mam robić: od pewnego czasu otrzymuję listy z pogróżkami i żądaniem pieniędzy?*

— *Niech pan autorów listów zaskarży do sądu za wymuszanie. Zna ich pan?*

— *To są moi wierzyciele.*

(College Humor).

*

Naczelny lekarz szpitala: — Ilu zmarłych było dzisiaj?
Asystent: — Czterech.
Naczelny lekarz: — Czterech?
Asystent: — Tak jest. Bo piąty pacjent, któremu pan wypisał receptę, nie chciał przyjąć lekarstwa.

(Grüne Post).

* * *

Jesteśmy świadkami coraz to nowego inwestowania zagranicznych kapitałów w Polsce przez co, rzecz prosta, wydatnie zyskuje na tem nasz rynek przemysłowo-handlowy. W ostatnich dniach kraj nasz poszczycić się może zainstalowaniem w Krakowie nowej placówki przemysłowej, dzięki koncernowi farmaceutycznych fabryk szwajcarskich. Ruchliwe bardzo Poselstwo Polskie w Szwajcarji dołożyło starań, aby zasobny w kapitały koncern szwajcarski, fabryka D-ra A. Wandera, przystąpił do budowy w Krakowie fabryki, przy zakładowym kapitale 1.500.000 złotych. W zakres działalności owej fabryki wchodzą preparaty i środki farmaceutyczne, koroną których jest powszechnie i chlubnie znana w Polsce „Ovomaltine". Środki te dotychczas zasilają rynek wewnętrzny, lecz w programie fabryki są w przyszłości kraje północne i południowo-wschodnie. W skład zarządu powyższej fabryki wchodzą ze sfer polskich p. inżynier A. Lewalski, nacz. dyrektor Huty Pokoju jako wice-prezes Tow. Akc.; Prez. miasta Krakowa senator K. Rolle i Dr. Albert Wolkenberg, jako naczelny dyrektor. Stworzenie tej placówki bezsprzecznie stanie się mostem współpracy Szwajcarji z Polską i zacieśnią się przez to węzły gospodarcze obu tych uprzemysłowionych krajów.

PORADY KOSMETYCZNE

Pani L. T. Extrakt ziołowy Bay-Rum zapobiega wypadaniu włosów, łupieżowi i siwieniu. Ang. płyn „Bisare" wzmacnia cebulki włosowe.

Marji S. Podczas zimna, wiatrów i słoty koniecznem jest uprzednie smarowanie twarzy i rąk radjowanym kremem „Salome" i przypudrować roślinnym pudrem „Select". Pudrów zagranicznych zawierających połączenia bizmutu i ołowiu należy unikać, jak również kiepskiej tandety krajowej.

Pani T. S. Łazienki pokojowe zastępują wanny i obecne niehygieniczne umywalki — rozsadniki bakteryj. Komfort i hygiena w najwyższym stopniu. Urządzenie na całe życie kilku pokoleń. Niezbędne w każdym mieszkaniu. Cena Zł. 560.—. Może być na spłaty długoterminowe. „Kalotechnika" Marszałkowska 116.

Dr. Z. K.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rebus jubileuszowy J. Stratilato



LOGOGRYF Z NAGRODAMI

Dawno nie widać było na łamach
Zadań, co miały rozrywkę nieść,
Nie był to jednak na dział ten zamach:
O formy jego szło i o treść.
„Świat", co na pulsie życia dłoń trzyma,
W wiek samolotów, radja i kin,
Żąda, by klasa stron była *prima*,
Gnębi szablony, nudę i spleen.
Więc — rozmaitość, gorący nerw,
Więc — cięty, rzutki, dowcipu chwyt,
Więc — najprzedniejsza z młodzieńczych
[werw;
Przeżyta forma — to zblakły myt.
Tłumił „Hak" zatem swoje zapędy,
Milczał, by inny nastał tu ład,
Lecz — że już blizki hejnał kolędy,
A zadań niema, raz jeszcze siadł
Do logogryfu tego pisania,
By czcić w zaranie blizkich już świąt —
Co się z przeszłości dzisiaj wyłania:
Tego tu pisma ożywczy prąd.
Jak *drugi* lustra albo latarni
Ich *siedemnaste* odbija het...,
Tak kierownicy poczynań swarni
Uznanie pismu zdobyli wnet.
To nie *dziesiąty* jakiś (składnica
starych zabytków, zamarłych ech),
Ale pogodna, jasna świetlica,
Z gwarem nowości radość i śmiech.
Nie jest to jednak i pusta *piąta*,
Bawiąca stare i młode dzieci,
Którą, po chwili, rzucasz do kąta,
Idea bowiem tym łamom świeci,
Życie odbija ładna rycina,
Żywych i zmarłych też *pierwsze* są;
Tom każdy przeszłość ci przypomina,
Numer — co mija w blaskach, za mgłą...
Co nam *dziewiąty* z skrzydły wątłemi,
Kiedy lotników widzimy pęd,
Wspaniały *siódmy* z opornej ziemi...
Zakusom wrażym to czyni wstręt.
Okręty nasze już mkną po morzu,
A groźne *trzecie* nie niszczą ich...
„Świat" towarzyszy im na bezdrożu:
Mamy: z opisem — rysunek, sztych.
Inteligenci, ba! i *dwunaści*
Darzą sympatją tygodnik ów,
Niema w nim bowiem brudnych napaści
I *szósty* nie zna brutalnych słów,
Choć obłudnemi też się nie maści...
Tylko *szesnasty* chyba duchowy,
Co w gnilne *ósme* ugrzęznąć rad,
Gotów się w jakieś bawić obmowy,
Lub obrażone *trzynaste* (gad!).
Ciężki zaś *czwarty* obrał przed laty
W słotne niewoli i szare dni,
Rzuciwszy inny, w talent bogaty
Redaktor. „*Tęcza*" dziś jemu lśni...
„*W Walce życiowej*" minął „*Rozstaje*",
Nie zwiódł go z drogi „*Dusz Małych*" „*Szal*";
Jako „*Przewódca*" kolegów staje
W Związku, co mandat mu władczy dał.
Na scenach polskich dobra to marka
Tego, co wdzięczne „*Aktorki*" ma.
A „*Ogrodniczka*", „*Djabeł - Karczmarka*",
Edukowana Bronka... trwa i trwa...
Charakterystyczni, czarne charaktery
Oraz *dwudzieści* — różnych lat, lic —
To tłum oddany Autorowi, szczery,
Wdzięczny za role, za pióra szkic.
W pracy pisarskiej czasem wyłom bywa —
Ten *osiemnasty* — do poleskich błot,
Lub na Pomorze, gdzie natura żywa
Nęci myśliwca, i *Głuszec*, i lot...
Kiedy Świtezi odwiedzi jezioro,
Może „*Rusałka*" wypadnie doń z wód...
I na palecie pisarza nabiorą
Wrażenia barwnych rumieńców i nut...
Gdym — mimochodem — wplótł w zwrotki
[zadania
Drobny tytułów sztuk Autora skrót,
Wzgląd na brak miejsca dalszych cytat
[wzbrania...
I tak zbyt długom ku końcowi wiódł...
Dwudziestym pierwszym niejednym
[albowiem
Wzbogacił Autor piśmiennictwa plon;
Z swemi siłami męskiemi i zdrowiem
Niejednym jeszcze nas zasili On.
Że chłostał wady, gryzł sercem nicponie —
Na poprzedników swoich wielkich wzór —
Dzięki mu szczere! Za to w jego plonie
Ckliwy *jedenasty* znikł i żalów chór...
Nieczas rozbijać na *dwudzieste pierwsze*
Całość tej pracy — wśród zmagań i trosk,
Lecz nabrać w piersi uczucia najszczersze,
Sercu dać folgę, miękcząc je jak wosk.
Piętnaście („naraz, ryczałtem, w całości")
Zrobiwszy bilans zasługi i cnót,
I bodaj z „dzielną" wady, co w nim gości,
Da *dziewiętnasty* — — — do czegom już
[wiódł...
Rządź swoim „Światem" dalej, Jubilacie,
Daj scenom polskim natchnień swoich treść;
Bratni *Czternasty* też pogląda na Cię.
I Dobro, Piękno, w swojem sercu pieść,
(I, nim „Świat" z Twoim rozstanie się sługą,
Daj — to zadanie. Wszak milczałem
[długo?...).

(Karol Hoffman.)

ZGŁOSKI LOGOGRYFU:

a - a - a - baw - ber - bloc - bło - ci - cze - e - en - grzeb - I - i - jazd - ję - ka - kar - ki - ko - la - lo - lot - łoch - man - me - mem - mot - mus - my - ni - raz - re - rje - run - sob - stwo - świa - to - to - to - tło - tyk - u - u - w - a - wer - wi - wód - wy - Za - za - za - ze - zyk.

Pierwsze i ostatnie litery wyrazów, ułożonych we właściwym szyku — dadzą rozwiązanie.

Termin nadsyłania rozwiązań 15-dniowy. Do rozwiązania należy dołączyć kupon uczestnictwa w losowaniu nagród, który Czytelnicy znajdą w numerze 2-gim „Świata" z r. 1931. Napis na kopertach pod adresem „Świata" — *logogryf jubileuszowy*.

Nagrody, w postaci książek, lub prenumerat „Świata" miesięcznych i kwartalnych, będą przyznane dokładnie rozwiązującym logogryf (t. j. z wymienieniem wszystkich wyrazów składających zadanie) drogą losowania i ogłoszone w ostatnim numerze styczniowym (4-tym).

NAGRODY

Za rozwiązanie rebusa jubileuszowego — bezpłatna prenumerata kwartalna „Świata".

Za rozwiązanie logogryfu:

I-sza nagroda. — Flakon kryształowy szlifowany Baccarat w stylu Ludwika XVI — perfumy Ylanga (Coryse).

II-ga nagroda. — Flakon wody kolońskiej 1/4 litra firmy „Antiba".



W DN. 7 B. M. OTWARTO W KATOWICACH NOWY TOR ŁYŻWIARSKI, NA KTÓRYM ODBYWAJĄ SIĘ POPISY SPORTOWE

Fot. N. Pełczyński

O lekturze dla młodzieży

Poważną kwestję lektury dla młodzieży usiłują większe firmy wydawnicze rozwiązać przez odpowiednią inicjatywę w redagowaniu książek dla młodych czytelników.

Jako ciekawy przyczynek do tego istotnie poważnego problemu podajemy program redakcyjny „Bibljoteki Iskier“, wydawanej nakładem jednej z większych firm Książnicy - Atlasu Towarzystwa Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych.

Oto wytyczne tego programu, sprecyzowane w czterech zasadniczych tematach lektury dla młodzieży:

1) Dzieła popularno-naukowe — szkice, opowiadania, bądź powieści — zaznajamiające młodzież z najnowszemi zdobyczami wiedzy przyrodniczej i technicznej, z nowemi odkryciami i wynalazkami. Tego typu dzieła mają za zadanie przedewszystkiem zaspokojenie ciekawości młodzieńczego umysłu, obudzenie szacunku dla wiedzy i pracy ludzkiej, a zarazem spotęgowanie zamiłowania do pracy na polu nauk przyrodniczo-technicznych, które wszak są ostoją dobrobytu społeczeństw i potęgi państw.

2) Dzieła podróżnicze, dzięki którym młody czytelnik uzupełnia swą wiedzę o życiu i obyczajach narodów i przez porównanie z życiem swego otoczenia rozszerza własny światopogląd, a zarazem wyrabia w sobie poczucie obywatelstwa światowego.

3) Dzieła o podłożu historycznem, traktujące o pewnych epokach życia własnego narodu. Zadaniem tego rodzaju dzieł powinno być uplastycznienie myśli państwowej, a zarazem obudzenie troski i współodpowiedzialności obywatelskiej w stosunku do własnego narodu i państwa.

4) Dzieła o treści obyczajowej, ilustrujące życie społeczne i uwypuklające znaczenie jednostki, jej godności i honoru osobistego, podnoszące potrzebę kształcenia indywidualnego i zbiorowego zalet charakteru, podkreślające duchowe walory człowieka jako członka społeczeństwa i współtwórcy jego dobrobytu:

Sądząc na podstawie dotychczas wydanych przeszło 30 tomów Bibljoteki Iskier — należy przewidywać, że zamierzony przez Redakcję program będzie celowo wypełniony i że młodzież polska znajdzie w książkach Bibljoteki Iskier istotnie zdrowy a zarazem ciekawy pokarm duchowy.

T. S.

FABRYCZNY SKŁAD DYWANÓW

WŁADYSŁAW CHOJECKI

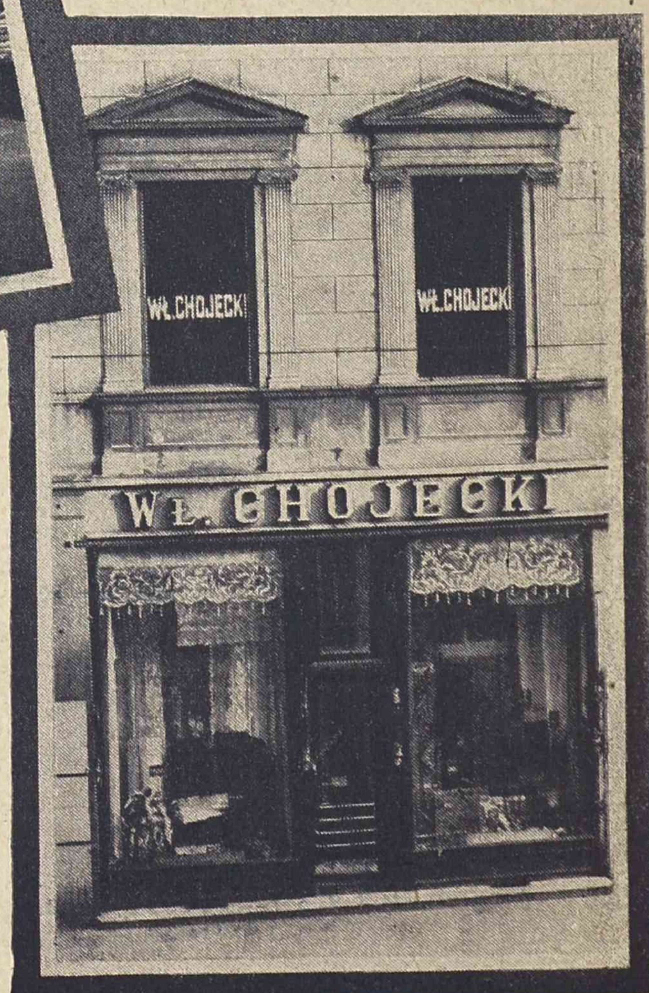
WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 122. TEL. 654-34



POLECA W WIELKIM WYBORZE PO CENACH FABRYCZNYCH: NARZUTY, PLEDY, SERWETY, CHODNIKI, PORTJERY, FIRANKI I POKRYCIA MEBLOWE, OD NAJSKROMNIEJSZYCH DO BARDZO WYKWINTNYCH



Fot. Jan Malarski



SALA I-GO PIĘTRA

SALA PARTEROWA

JEDEN Z SAMOCHODÓW EKSPEDYCYJNYCH

FRONT FIRMY W. CHOJECKI

Wzorowy zakład kosmetyczno - fryzjerski

Przy ul. Nowy Świat Nr. 34, tel. 422-60, front I-sze piętro, znajduje się jeden z najelegantszych wzorowo prowadzony przez właścicieli pp. Józefa Rutkowskiego, Kazimierza Ciesielskiego i Wacława Pawłowskiego zakład fryzjerski dla dam. W wytwornych salonach zakładu wykonywane są wszelkie prace kosmetyczne i fryzjerskie, jak barwienie i dekolorowanie włosów, wieczna ondulacja, czesanie według ostatniej mody. Warto wykwintny ten zakład zwiedzić.





Ciekawy konkurs gramofonowy

Znana i popularna firma gramofonowa COLUMBIA zorganizowała na terenie Polski, pierwszy wielki konkurs gramofonowy. Konkurs to bardzo ciekawy: fabryka Columbia nagrała kilka płyt w fabryce swojej w Anglji, na pewnym instrumencie — chodzi tylko o to, by odgadnąć, jaki to instrument, a kto pozna instrument i odeśle na czas kupon, załączony przy każdej płycie Columbia t. zw. Konkursowej, może wygrać piękną nagrodę, ofiarowaną przez fabrykę Columbia. Nagród jest 7 — wszystkie piękne i kosztowne. Bliższe szczegóły konkursu w ogłoszeniu firmy Columbia.

Moda w firmie W. WORONICZ

Nie darmo warszawianka uchodzi za jedną z najlepiej ubranych kobiet w Europie! Słynni są krawcy — couturierzy warszawscy! Ich wykwintny smak — znajomość potrzeb klijentek, przytem uprzejmość, z jaką potrafią obsłużyć najwybredniejsze nawet kobiety — uczyniły z nich prawdziwych mistrzów swego zawodu.

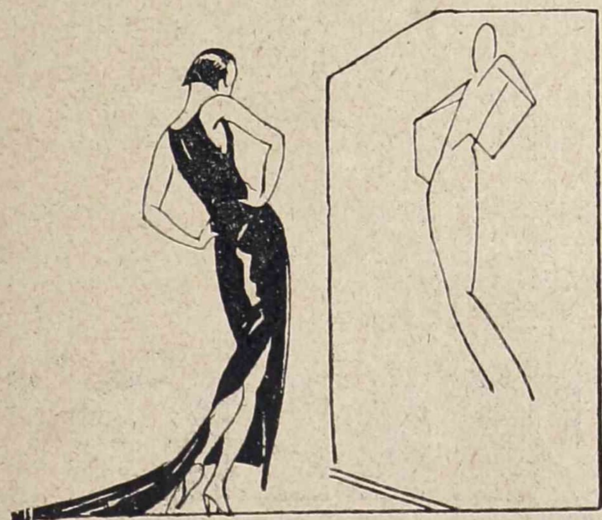
Sto lat pracy na polu mody i dogadzania kaprysom kobiecym — to nielada wyczyn, to nielada triumf! A jednak pochwalić się może takim sukcesem firma Woronicz, która zdobyła sobie zasłużone zaufanie wśród tysięcy klijentek warszawskich i przyjezdnych pań.

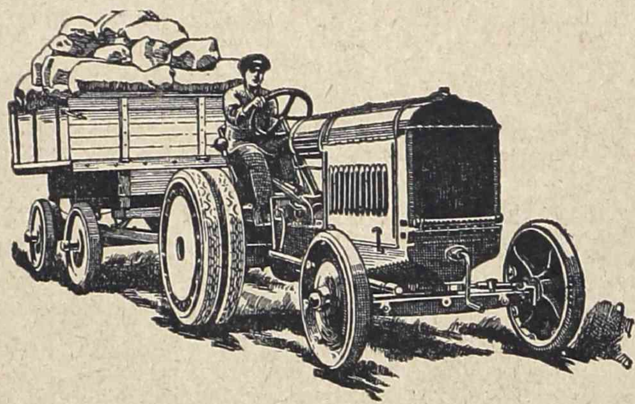
Czego tam nie ma na składzie! Od najskromniejszych sukienek sportowych do najwykwintniejszych toalet wieczorowych, a wszystko piękne, gustowne, szykowne i najmodniejszych, ostatnich fasonów.

Właściciel firmy, p. Woronicz, powróciwszy niedawno z Paryża i Londynu, chętnie bardzo dzieli się z nami swemi wiadomościami o ostatniej modzie, jakie przywiózł ze sobą ze stolicy mody — Paryża. A więc na przed południe sukienka krótka, ale nie przed kolana. Na popołudnie suknie muszą mieć 35 do 38 cm. od ziemi, zaś na wieczór do kostek. Toalety balowe tylko do ziemi. Wracamy powoli do starej, pięknej mody, choć do trenów nam jeszcze daleko, stwierdza p. Woronicz.

Co do kolorów, to po za kolorem czarnym, który zawsze jest modny, twarzowy i elegancki, modne są wszystkie odcienie bronzów i zielonych oraz popielaty i biały. Wogóle co do kolorów, to reguł żadnych niema. Chodzi przede wszystkiem o twarzowość sukni czy toalety, a to już rzecz indywidualna danej kobiety i jej dostawcy. P. Woronicz ma wyrobiony smak i gust, zna swoje klijentki doskonale i potrafi dogodzić nawet najwybredniejszym wymogom pań. Niedarmo też firma Woronicz cieszy się ogólnem zaufaniem i ma tysiące klijentek tak w Warszawie jak i na prowincji.

Bogaty asortyment sukienek sportowych, spacerowych, wizytowych i balowych od najskromniejszych do najwykwintniejszych, napewno potrafi zadowolić warszawianki, a wszystko jest gotowe, nie trzeba czekać na robotę, ani wykończenie. Należy pamiętać adres: W. Woronicz, Marszałkowska 119.





TRAKTOR PRZEMYSŁOWY

„Deering"

NAJTAŃSZY ŚRODEK NOWOCZESNEGO TRANSPORTU TOWARÓW

DOSTAWA NATYCHMIASTOWA

CZĘŚCI ZAMIENNE NA SKŁADZIE W WARSZAWIE

DOZÓR TECHNICZNY

OFERTY i KOSZTORYSY NA KAŻDE ŻĄDANIE

WYŁĄCZNA REPREZENTACJA NA POLSKĘ „**KOOPERACJA ROLNA**" WARSZAWA, KOPERNIKA 30, TEL. 741-14

GABINET kosmetyczny
JADWIGI SADOWSKIEJ Krak.-Przedm. 7
Telefon 608-96.
MASAŻ PLASTYCZNY. RACJONALNE USUWANIE ZMARSZCZEK, TRĄDZIKU, UPIĘKSZANIE. PIELĘGNOWANIE WŁOSÓW

WYTWÓRNIA KWIATÓW SZTUCZNYCH
J. Stróżewska i S. Ziemska
POLECAJĄ W WIELKIM WYBORZE, WYKWINTNE NOWOŚCI SEZONOWE
WARSZAWA TEL. 672-98 BRACKA 16

PRAKTYCZNE PODARKI: ARTYSTYCZNE PODUSZKI, SKÓRZANE KILIMKI, BIELIZNA HYGIENICZNA „TETRA"
KOŁDRY na puchu, wełnie, wacie. Poduszki, materace, bielizna. Wyprawy ślubne, uczniowskie, niemowlęce. Kapy, firanki, pledy
H. SZYMALA WARSZAWA CHMIELNA 10. TEL. 759-53
DOSTAWY DLA INSTYTUCJI, HOTELI, SZPITALI

Gabinet Kosmetyczny „NIKS", JANINY ALBRECHTOWEJ
Chmielna 29—11, tel. 796 48, parter wprost bramy
Cerę najbardziej zaniedbaną poprawia—pielęgnuje. Defekty nosa usuwa odpowiedniemi zabiegami. Brwi, rzęsy barwi artystycznie — długotrwale. Przyjęcia od 11 — 7, Panie przyjezdne bez zamawiania godzin.

TEATR REWJI
Nowy-Świat Nr. 63 telef. 701-00 i 600-95

„WESOŁY WIECZÓR"

pod dyrekcją
ZYGMUNTA WOYCIECHOWSKIEGO

CODZIENNIE 2 PRZEDSTAWIENIA O GODZ. 7.30 i 9.45
Ceny miejsc od 2 zł. do 10.50 zł.

ZESPÓŁ ARTYSTYCZNY
J. Bukojemska, M. Gabrielli, Z. Halama, J. Kraszewska, L. Messal, L. Niemirzanka, M. Nowicka, L. Żelichowska, B. Horski, B. Kamiński, J. Klimaszewski, J. Krzewiński, A. Leliwa, W. Macherski, F. Parnell, M. Rentgen, L. Sempoliński, Cz. Skonieczny

---

kosmetyka wytwornej pani

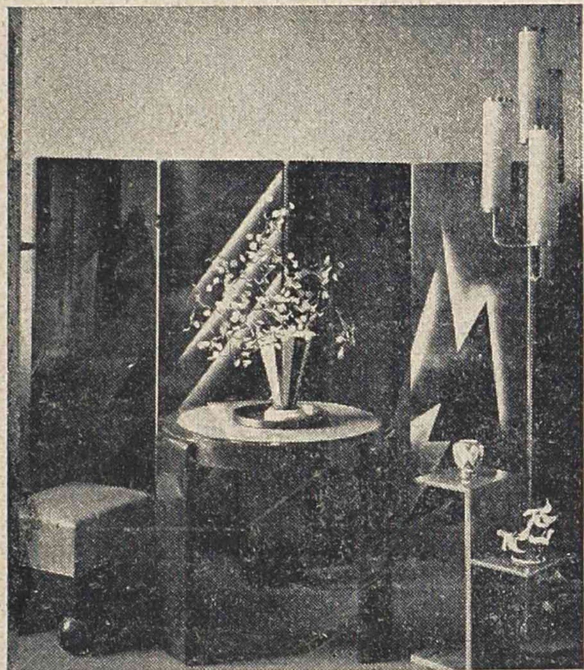
krem•mydło•puder

•LADY•
Cazimi

Atelier artystyczno-dekoracyjne pani Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej

Mieszkańcy wielkich miast na zachodzie i w Ameryce Północnej wielką przykładają wagę do pięknych wnętrz mieszkań. Pani domu zazwyczaj dba, aby w mieszkaniu pełno było lamp i lampeczek z pięknemi abażurkami, aby meble dobrane były gustownie do całości i stylu, aby gdzieś w jednym kącie stał pięknie wykonany parawanik, tam znów stolik jakiś gustowny, — jednem słowem, aby jak najwięcej piękna dodać wnętrzowi swego home'u — i słusznie, boć przecie w tym mieszkaniu spędzamy większą część naszego życia.

Dzisiaj Warszawa może poszczycić się pięknem atelier artystyczno-dekoracyjnym, pani Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej. Atelier to wypełniło właśnie lukę, jaka istniała



FRAGMENT BUDUARU

w naszym przemyśle rodzimym i dostarcza pięknych artykułów, misternie wykonanych i planowanych osobiście przez pełną pomysłów panią Raczyńską-Arciszewską. Mieliśmy sposobność zwiedzić atelier i podziwialiśmy tak pierwszorzędne urządzenia jego, jak i sposób wykonania każdego poszczególnego przedmiotu. Wszystko tam jest godne podziwu i zachwytu, czy to przepiękne lampy i abażury od najskromniejszych do najwykwintniejszych, etażerki, stoliczki, mebelki, wazony, sztuczne kwiaty, jakby żywe — jednem słowem..." il' y a pour tous les gouts", jakby powiedział francuz, a co najważniejsza także... „pour toutes les poches".

„Chcę, aby Warszawa przekonała się — mówiła nam pani Raczyńska - Arciszewska, że i za niewielkie pieniądze można mieć przedmioty piękne, wykonane artystycznie i stylowo, nie masowej produkcji. Nad każdą sztuką, małą czy dużą, abażurem, czy lampą, stolikiem czy parawanem — czuwam osobiście. Specjalni rysownicy według dawanych moich wzorów, przygotowują rysunki na abażury i kwiaty, mebelki i półeczki.

Warszawa naogół poparła bardzo prace pani Zofji Raczyńskiej - Arciszewskiej, a oto sklepy warszawskie, prowadzące artykuły jej wyrobu — Z. Kiltynowicz przy ul. Mazowieckiej, Edouard Coqui przy ul. Wierzbowej i Bracia Jabłkowscy przy zbiegu ul. Chmielnej i Brackiej.

Jeśli kto chce nabyć piękne przedmioty do swego home'u — niechaj w wyżej wymienionych sklepach żąda stanowczo pokazania sobie oryginalnych przedmiotów wykonanych przez atelier artystyczno-dekoracyjne Zofji Raczyńskiej-Arciszewskiej, a tego nie pożałuje.

S.

CUDZE CHWALICIE—SWEGO NIE ZNACIE

(„Syberja" o polskich futrach)

Nastała zima — każdy poważnie myśli o futrze. Zwróciliśmy się do kierownika bardzo popularnego składu futer „Syberja", Al. Ujazdowska 34, aby otrzymanemi od niego informacjami o przemyśle futrzanym w Polsce, podzielić się z naszymi czytelnikami.

„Polska słynęła zawsze z eksportu wyborowych futer — zaczął nasz informator — do dziś dnia mamy w Polsce przepiękne gronostaje, tumaki borowe i leśne, nurki, wydry, tchórze, ciemne i białe, lisy, rysie, wiewiórki, borsuki, źrebaki, króliki, koty, zające, barany. Obecnie rząd popiera także energicznie hodowle srebrnych lisów i innych zwierząt szlachetnych.

„Do niedawna nie mieliśmy w kraju urządzeń przetwórczych, tak że futra wywożono zagranicę dla ich obróbki, farbowania i t. d. poczem towar powracał do kraju jako zagraniczny, co znacznie podnosiło futra w cenie ze względu na cło. Dzisiaj stosunki zmieniły się na lepsze. Przy udziale poważnych kapitałów krajowych utworzono u nas farbiarnie i wyprawiarnie futer, które nie ustępują zagranicznym, a towarem naszym dzisiaj interesuje się nawet Ameryka. Surowiec nasz okazuje się nawet lepszym od rosyjskiego. Głównie tumaki, tchórze i źrebaki znajdują chętnych nabywców zagranicą. Nabywca futra w Polsce otrzymuje dzisiaj towar krajowy lepszy i trwalszy od zagranicznego.

„Jeśli mam wspomnieć o naszej firmie — kończył swe opowiadanie nasz informator — to zaznaczę, że jesteśmy specjalnie obeznani z surowcem i prowadząc eksport, staramy się wyprawiać futra w kraju, dając możność klijenteli naszej nabywania doborowego towaru po cenie hurtowej. Kogo interesuje dobre, trwałe, eleganckie i tanie futro — niech zwiedzi firmę „Syberja", Al. Ujazdowskie 34, gdzie ujrzy wiele pięknych modeli.

*

— *Już dwa lata moja żona używa Punkt-Rollera.*

— *No i jest jaki skutek?*

— *Owszem. Punkt - Roller jest już znacznie cieńszy.*

(Ulk).

*

PAŃSTWOWY MONOPOL

SPIRYTUSOWY

WÓDKI CZYSTE	W BUTELKACH POJEMN.			
	1/1	1/2	1/4	1/10
	ZŁOTYCH			
ZWYKŁA				
40°	6.—	3.20	1.80	—
45°	6.60	3.50	1.90	0.76
WYBOROWA				
40°	6.90	3.70	2.—	—
45°	7.60	4.—	2.20	—
LUKSUSOWA				
45°	10.40	5.50	—	—
SPIRYTUS NA CELE LECZNICZE i DOMOWE **95°**	14.50	7.50	4.—	—
DENATURAT (SPIRYTUS SKAŻONY) **92°**	1.60	0.85	—	—

TOWARZYSTWO

FABRYK PORTLAND CEMENTU



„WYSOKA"

SPÓŁKA AKCYJNA

WARSZAWA,

UL. MAZOWIECKA 7.

TOWARZYSTWO AKCYJNE

Fabryki Portland - Cementu

„WOŁYŃ"

SPÓŁKA AKCYJNA

WARSZAWA, UL. MAZOWIECKA 7

CUKIERNIA

J. JACKOWSKIEGO

MARSZAŁKOWSKA 59 (róg Koszykowej)

Poleca pączki niezrównanej dobroci, oraz wielki wybór ciast na nadchodzące święta.

Pierwszorzędny Gabinet Racjonalnej Kosmetyki „Madeleine", MAGDALENY POZNAŃSKIEJ, Mokotowska 52, tel. 708-37

Konserwuje urodę kobiecą, doskonali, odświeża, usuwa jej skazy i braki. Najświeższe paryskie metody. Najnowsze zdobycze współczesnej kosmetyki „Maquillage". Udoskonalone barwienie włosów. Manicure. Trwałe przyciemnianie brwi.



Obuwie Dziecięce i Śniegowce

J. Bocheński i Fr. Raczek

Nowy-Świat 1, przy pl. Trzech Krzyży

„PANI" gabinet kosmetyczny

J. RÓŻAŃSKIEJ. Al. Ujazdowskie 34 — 4

Telefon 8.82-72

WSZELKIE ZABIEGI NOWOCZESNEJ RACJONALNEJ KOSMETYKI, PRZYCIEMNIANIE BRWI, MANICURE

A. GRAFF

Nowy-Świat 19
tel. 738-50
WARSZAWA

ZABAWKI
GALANTERJA
W WIELKIM WYBORZE

CENY NISKIE

MEBLE

od skromnych do wykwintnych za gotówkę i na raty

W. KUCHARSKI

Nowy-Świat 16 róg Al. Jerozolimskich

NAJSTARSZY W STOLICY

„BAR AMERYKAŃSKI"

SENATORSKA 27 TEL.: 621-48

Bufet obficie zaopatrzony w zimne i gorące przekąski oraz trunki firm pierwszorzędnych

CENY NISKIE

DOM PRZEMYSŁOWO-EKSPEDYCYJNY

W. WĘGIEŁEK i S-KA

FIRMA EGZYSTUJE OD 1912 ROKU



FRAGMENT BIURA

SZEF FIRMY W. WĘGIEŁEK

BIURA

Warszawa, Trębacka 1
Telefony 740-88 i 740-99.

SKŁADY

Warszawa, Ogrodowa Nr. 62.

TABORY

Warszawa, Ogrodowa 65 (dom własny).
TELEFON 622-68.



PRZEPROWADZKA W WARSZAWIE

DZIAŁ TOWAROWY

Wszelkie przewozy i wysyłki w kraju i zagranicą.

Fot. Jan Malarski

ZAŁATWIA NASTĘPUJACE ZLECENIA:

DZIAŁ MEBLOWY

Przeprowadzki miejscowe, podmiejskie, międzymiastowe, międzynarodowe. Opakowanie mebli, dział sztuki i t. p.

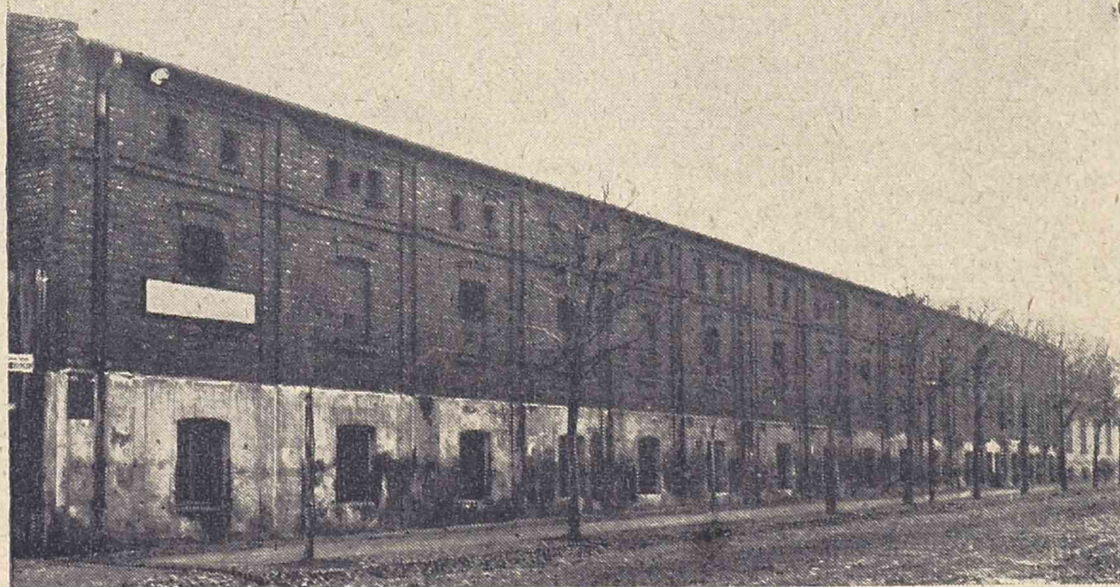


WÓZ ZAŁADOWANY DOTRANSPORTU KOLEJOEWGO

DZIAŁ SKŁADOWY

Przechowywanie mebli i towarów oraz asekuracja. Firma posiada obecnie w składach około 200 wagonów mebli oraz około 150 wagonów towarów.

Powyższe dane świadczą o solidności, fachowości i dobrej organizacji firmy **W. WĘGIEŁEK i S-ka.**



FRAGMENT SKŁADÓW

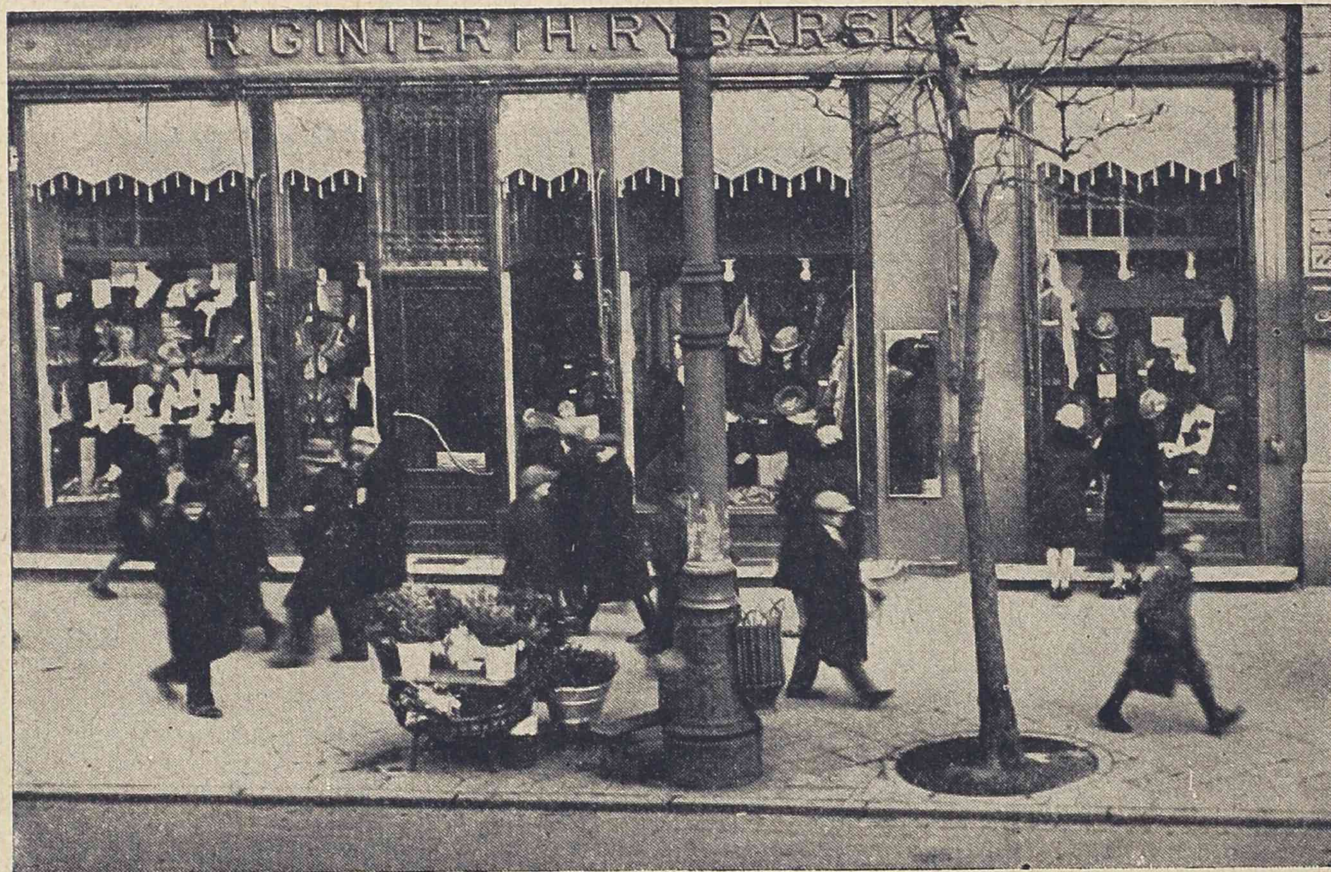
JEDYNE ŹRÓDŁO TANICH ZAKUPÓW

KONFEKCJI MĘSKIEJ I DAMSKIEJ ORAZ TRYKOTAŻY

TO ISTNIEJĄCA OD 1910 R. FIRMA

R. GINTER I H. RYBARSKA

MARSZAŁKOWSKA 122 WARSZAWA TELEFON 624-91.



FRONT SKLEPU FIRMY R. GINTER I H. RYBARSKA. Fot. J. Malarski

W jednym z najruchliwszych punktów stolicy, Marszałkowska 122, mieści się wielki, elegancki, z europejskim komfortem urządzony magazyn zapełniony bogato towarem pierwszorzędnego gatunku i najmodniejszym.

Najwspanialsze modele bielizny damskiej, męzkiej, palt, pijam, krawatów kapeluszy, lasek i t. d. a skończywszy na drobiazgach jak gustowne garnitury spinek, szpilki do krawatów; dziesiątki wszelkiego rodzaju drobiazgów niezbędnych do ubrania znajdują się w tym magazynie — będącym istną ekspozyturą królestwa mody.

A wszystko to ułożone, wystawione z artystyczną symetrją nęci oko i sprawia zadowolenie najbardziej wybrednemu elegantowi. A dział trykotaży — chluba firmy R. Ginter i H. Rybarska. Wyroby te pochodzące z własnej wytwórni nie tylko nie ustępują pod względem dobroci i gustu zagranicznym wyrobom tego rodzaju, lecz bez zaprzeczenia przewyższają wiele z nich pod wieloma względami.

Firma R. Ginter i H. Rybarska śledząc nieustannie za pochodem mody posiada stale na składzie wszelkie nowości danego sezonu a przedewszystkiem wielki wybór palt męzkich bielizny frakowej; trykotaży sportowych.

Śmiało więc polecić możemy naszym czytelnikom firmę R. Ginter i H. Rybarska, Marszałkowska 122, jako istotnie jedyne źródło zakupów czy to gwiazdkowych, karnawałowych czy innych, gdyż tam gdzie się łączy zdrowa kalkulacja z wysokim gatunkiem posiadanych towarów, tam każdy może czynić zakupy z całym przeświadczeniem, że kupuje dobry towar za tanie pieniądze. A więc wszyscy po zakupy do firmy

R. GINTER i H. RYBARSKA

WARSZAWA,

Marszałkowska 122. Tel. 624-91.



WNĘTRZE SKLEPU FIRMY R. GINTER I H. RYBARSKA Fot J. Malarski.

GASTRONOMJA

NAJPOPULARNIEJSZY LOKAL W STOLICY

BAR

KAWIARNIA

RESTAURACJA



TARAS

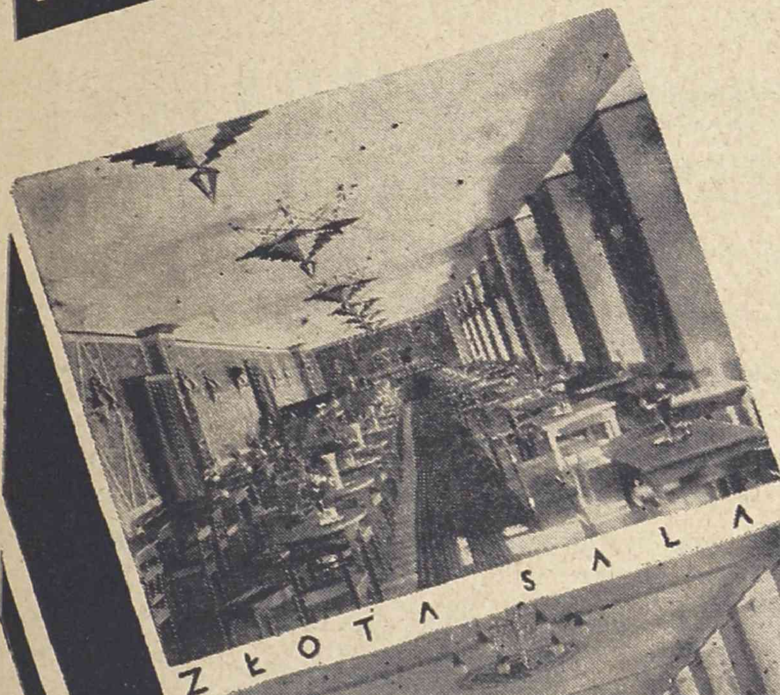


WERANDA DOLNA

WARSZAWA

NOWY ŚWIAT 16

RÓG AL. 3 MAJA



ZŁOTA SALA



KAWIARNIA

PRZY KAWIARNI NAJWIĘKSZA W POLSCE CZYTELNIA PISM

120 CZASOPISM KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH

40 ŻURNALI MÓD

2 NAJLEPSZE ZESPOŁY KONCERTOWE

F.L.

FOT. J. MALARSKI

Wnętrze home'u warszawskiego

Kto zna warszawskie mieszkania w sferach bogatych i zamożnych, kto dużo bywa w towarzystwie stołecznym, ten wie dobrze, jak wielką wagę przypisuje pani domu do pięknych dekoracji wnętrz, do pięknie wykonanych żyrandoli, lamp, do abażurów, do kryształów itd... Te wszystkie drobiazgi, porozstawiane na kredensach, postumentach, biurkach — to prawdziwa ozdoba mieszkania. Wzrok mile spoczywa na porcelanie, krysztale zgrabnym, dobrze wykonanym i estetycznym. Wśród wielu firm warszawskich, ofiarujących swej klijenteli wykwintną galanterję i wszystko, co wchodzi w zakres upiększenia mieszkania, bezsprzecznie prym wiedzie znana i ceniona firma *Edouard Coqui przy ul. Wierzbowej No. 6, tel. 632-20*. Warto wstąpić tam choć na chwilę, by zobaczyć piękne importowane i krajowe modele abażurów, żyrandoli, porcelany, kryształów i lamp.

St.

Lincoln w anegdocie

Abraham Lincoln, prezydent Stanów Zjednoczonych, był synem farmera. Rozpoczął swoją życiową karjerę od pracy fizycznej. Był drwalem, cieślą, palaczem na statku. Wysoką i zaszczytną godność prezydenta osiągnął przez długoletnią praktykę adwokacką i udział w działalności politycznej. Dookoła jego charakterystycznej postaci osnuło się wiele legend i anegdot. Lincoln, jako syn ludu, posiadał specyficzny rodzaj przemawiania, bawienia, zaskakiwania swoich przeciwników i zwolenników. Już w 28 roku życia został współkierownikiem partji politycznej, choć, jak określił go współczesny mu dziennikarz, „Pan Lincoln zachowuje się publicznie, jak klown". Wszystkie listy, rachunki, dokumenty nosił za podszewką kapelusza. Tłumaczył się w liście pewnemu klijentowi, jak zapewnia E. Ludwig, autor dwutomowej monografji o tym prezydencie:

„Po pierwsze miałem dużo roboty, po drugie włożyłem pański list w swój stary kapelusz, a ponieważ potem kupiłem sobie kapelusz nowy, więc list pański straciłem z oczu".

Nie przeszkadzało to Lincolnowi uchodzić za znakomitego obrońcę. Zalecała go wyjątkowa wprost uczciwość. Gdy zjawił się w jego kancelarji jakiś klijent ze sprawą o 600 dolarów, wątpliwej wartości, odpalił go po - amerykańsku:

— Udzielę panu takiej rady. Niech pan idzie do domu i niech pan pomyśli, czy nie dałoby się zdobyć 600 dol. w sposób uczciwy".

Jako adwokat wobec sądu zdobywał się na argumenty druzgocące przeciwnika lub ośmieszające. W sprawie o zabicie psa dowodził:

„Klijent mój był w położeniu człowieka, który, idąc z widłami na ramieniu, zostaje napadnięty przez psa. Ponieważ nie miał ochoty dać się pogryźć kundlowi, więc go zakłół widłami.

— Czemu zabił mego psa?... — pyta oskarżyciel...

— Czemu pies chciał pogryźć mego klijenta? — odpowiada.

— Dlaczego nie bronił się tępym końcem wideł?

— Dlaczego pies nie napadał na mego klijenta tępym końcem?

Odpowiedź ta wywołała głośny śmiech i przesądziła sprawę na korzyść klijenta A. Lincolna.

Najkapitalniejszą anegdotą z jego działalności jest autentyczny djalog z czasów wojny domowej. A. Lincoln dostaje ostrzeżenie co do wojennych talentów gen. Granta. Na czem pan opiera swoje zdanie, pyta referenta:

— Gen. Grant wciąż pije!...

— A nie wie pan co? Nie dowiedział się pan?...

— Jeżeli potrzebna jest panu prezydentowi ta wiadomość, to jej dostarczę. Chcę tylko zapytać w jakim celu?

— Posłałbym innym dowódcom whisky tej samej marki, to możebym mógł ocenić nareszcie ich kwalifikacje wojskowe".

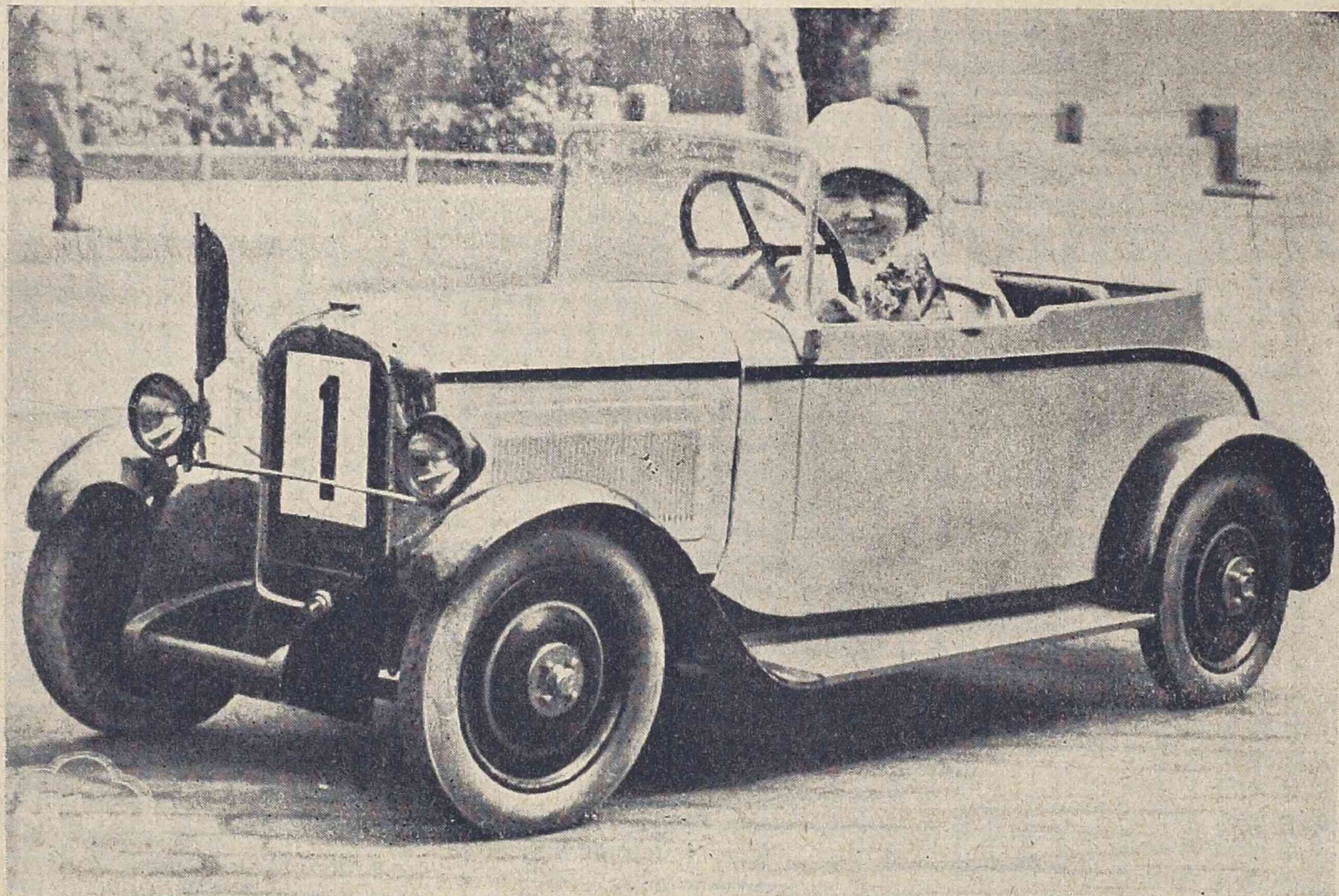
Jak wiadomo, Abraham Lincoln został zamordowany w dn. 14 kwietnia r. 1864, podczas przedstawienia „Kuzyna z Ameryki". Związał on swoje imię z uwolnieniem murzynów z hańbiącej niewoli. Dewizą jego życia były słowa, wypowiedziane w lata młodzieńcze:

„Jeszcze nic takiego nie uczyniłem, co kiedyś przypomniałoby choć jednemu człowiekowi, że istniałem na świecie. A jednak celem mojego życia jest pragnienie, abym mógł przekazać ludziom imię swoje, związane z jaką wielką sprawą".

Stało się zadość temu pragnieniu. Lincoln związał swoje nazwisko nietylko ze sprawą wielką, ale i szlachetną.

F.

GWIAZDKA 1930



Gwiazdka — czyż istnieje bardziej radosny dzień dla dzieci? Rok cały śnią o chwili, gdy Św. Mikołaj odwiedzi je przynosząc upragnione prezenty. Niegdyś sprawiało im największą radość wszystko: szabelka, lalka, konik, mundur. Dziś, w okresie lotnictwa i automobilizmu, śnią o przelotach nad Atlantykiem, o dalekich raidach samochodowych. Dziś byle brzdąc zna wszystkie marki samochodowe, a nawet wybrał już sobie jedną z nich, jako przedmiot swych marzeń. Dziś na mały samochodzik sprężynowy patrzą z pogardą.

Cóż znaczy taki samochodzik w porównaniu z samochodem elektrycznym, będącym wierną kopją dużego samochodu!

Cóż za rozkosz móc usiąść przy kierownicy, włączać biegi i mknąć po parku wśród zazdrosnych rówieśników.

A teraz, w przededniu gwiazdki, wiele dzieci nie przestaje myśleć o salonie wystawowym firmy Citroen; wszak znajdują się tam piękne małe samochodziki, przedmiot ich marzeń.

Często widzi się przed wystawą małego chłopczyka, lub dziewczynkę, którzy pożerają wprost wzrokiem samochodziki elektryczne. Od czasu do czasu patrzą też ukradkiem ze szczerym zachwytem na stojący obok piękny, wykwintny, duży samochód i w myślach obiecują sobie wiele, przyjemności, gdy staną się właścicielami takiego samochodu, jak dorosną.

A tymczasem posiadać bodaj ten mały!

Od Administracji

Prenumerata „ŚWIATA" wraz z premjum książkowem (jeden tom wyborowej powieści cudzoziemskiej w wytwornem wydaniu) wynosić będzie w roku 1931

NA PROWINCJI:
miesięcznie zł. 7.—, kwartalnie zł. 21.—

W WARSZAWIE:
miesięcznie zł. 6.—, kwartalnie zł. 18.—
z odn. do domu mies. zł. 6.50, kw. zł. 19.50

Wobec konieczności unormowania nakładu, uprzejmie prosimy o jaknajszybsze załączanie wszelkich zmian.

HUMOR ZAGRANICZNY



— Skądże ta myśl, że dziecko nie jest twoje?

— Spojrzyj na moją głowę. Czy mój syn mógł urodzić się łysy?

*

— Jak się chowa pański syn?

— O, znakomicie. Już trzy miesiące, jak uciekł, a policja dotąd go nie odnalazła.

(Detroit News).

HUMOR ZAGRANICZNY

— Czy sypiasz po obiedzie?
— Sypiam, ale rzadko.
— Dlaczego?
— Bo rzadko jadam obiady.

(Universul).

— Jaka jest kara za dwużeństwo?
— Dwie teściowe.

(Le Rire).

⁂

Mąż: — Wolę umrzeć, niż nadal być tak tyranizowanym przez ciebie.
Żona: — O tak, dla takiego leniucha, jak ty, byłoby szczytem szczęścia leżeć cały dzień w trumnie i nic nie robić.

(Sunday Sun).

⁂

Służąca: — Panie profesorze, przyszedł pan doktór.
Profesor roztargniony: — Powiedz mu, że nie mam czasu i że jestem chory.

(Passing Shaw).

⁂

Lekarz: — Co pani dolega?
Pacjentka: — Cierpię na zanik pamięci.
Lekarz: — W takim razie proszę opłacić wizytę zgóry...

(Ulk).

⁂

HUMOR ZAGRANICZNY

— Spełnij moją ostatnią wolę, — rzekła ciężko chora do męża, — i pogódź się z moją matką.

— Uczynię, jak sobie życzysz, — zapewnił stroskany mąż.

— Chciałabym, byś krocząc za moją trumną, prowadził ją pod rękę.

— O, nie, tylko nie to!

— Ależ, mój drogi, to jest moje ostatnie pragnienie...

— No, dobrze. Ale wyznam ci, że dzień ten straci dla mnie cały swój urok.

(N. Wiener Journal).

*

— Mój pies był niezwykle wierny i inteligentny. Instynktownie odróżniał łotra od człowieka uczciwego.

— Pocóżeś go sprzedał?

— Bo widzisz, pokąsał mnie kilka razy.

(Obzor).

*

— Powiedz mi, co trzeba robić, aby mieć takie ładne ręce, jak ty?

— Nic.

(Simplicissimus).

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51
Konto czekowe P. K. O. 3755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16. Centrala Gazet L. Robowska. **CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., z odnoszeniem do domu 5.50 zł., na prowincji miesięcz. 6 — zł. kwartalnie 18.— zł. Zagranicą miesięcznie 8.— zł.

Cena numeru jubileuszowego w Warszawie i na prowincji **3 zł. 50 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.*

Numer jubileuszowy „Świata" całkowicie wykonany został w Zakładach Graficznych Galewski i Dau w Warszawie